

Dr H. Willman-Grabowska

Święto wiosny w Indiach

Przed pełnią miesiąca Phalguna (pół lutego pół marca), gdy zbliża się wiosenne porównanie dnia z nocą, obchodzą Hindusi święto Holi. Skończyła się wtedy w północnych Indiach (w Pendżabie, Bengalu) pora chłodna, sisira; słońce wstępuje w znak Barana. Nim wstąpi w znak Byka, na południu już dojrzeją zboża. W tak zw. Jupi (United Provinces), czyli złączonych prowincjach Agra i Udh, zbiory kończą się w kwietniu. W tym też czasie odpoczynku od robót a wyczekiwania owoców, odbywają się aż dziesięciodniowe w niektórych miejscach uroczystości Holi. Jest to zarazem początek Nowego Roku.

Ten ostatni nie wszędzie i nie zawsze jednakowo przypada, a to zależnie od kalendarza indyjskiego i od ery, bo nie wszędzie tej samej ery się trzymają. Najogólniej uznawana jest era Samwat lub Wikrama. Podług niej jest teraz w Indiach północnych rok 1995. W Indiach południowych za to, podług ery Saka jest obecnie r. 1860. Naturalnie, według wewnętrznego kalendarza indyjskiego, w stosunkach bowiem administracyjnych nawet „niezależne” państwa hinduskie idą za Europą i jej erą.

Za mego pobytu w Indiach trzy razy, a może i więcej, przypadła Rok Nowy, choć europejski raz tylko. Najwcześniej wypadły święta ludowe, obchodzone na północy w okolicach Agra na znak, że już słońce rozpoczęło swój bieg wiosenny. Jest wtedy miesiąc Pausza (pół grudnia pół stycznia), które to imię oznacza nabrzmiewanie pąków przed kwitnieniem. W ostatnich dniach naszego grudnia, po oddalonych wsiach wbijają w ziemię pień lub prostą a mocną łodygę bawelnianego krzewu; znachor wiejski go podpala. Do ognia dorzuca się wysuszone placki krowiego gnoju; wystygły na drugi dzień popiół będzie służył do malowania znaków sekciarskich na czole: prostopadłych — Wisznu; poziomych — Sziwy. Jedzą przypieczone w ogniu klosy jęczmienia. Trzeci dzień to prawdziwe święto: z pieśniami i śmiechem młodzież męska obrzuca kobiety suchym krowim gnojem lub obsypuje kolorowym proszkiem. Dzień to bardzo swobodnych zabaw miłosnych, pomyślny dla zrękwów.

Ale prawdziwa wieś indyjska daleko stąd, od hotelu Imperial w europejskiej i urzędowej wspaniałej dzielnicy Agra-Cantonment (tak się nazywają w Indiach podmiejskie osady mniej lub więcej angielskie, pełne parków, ślicznych rezydencji, hoteli, turystów i hinduskiej... służby). Szlachetni Europejczycy mało się interesują wsią indyjską. Zwykle o niej nic nie wiedzą, jak zresztą w ogóle o Indiach. Przebiegają je pociągiem pospiesznym dla „zwiedzenia” tego lub owego; czasem mniemają się być pielgrzymami i przybrawszy na się kostium miejscowy (ludność jest uprzejma i nigdy się z obcych nie wyśmiewa), jedzą szukać owej bajecznej mądrości Wschodu, a nabywszy jej z ust mądrych i poślizgniętych mistrzów, wracają odrodzeni do Europy, czy do Ameryki. Hindusem takim, jaki stanowi 99 procent zaludnienia, nie zajmują się. Obecnie im jego istotne walki i dążenia. Wreszcie trudno dotrzeć do tych ludzi, trudno fizycznie i moralnie. No, i potrzeba pewnego przygotowania, większego niż kiedy się idzie na ciekawy film.

I oto gdzieś tam w zapadłym kącie o kilkadziesiąt mil stąd odbywa się starodawna, jeszcze przedindyjska uroczystość przelomu roku, nadziei nowego życia, tak jak się odbywała przed tysiącami lat, a ja tu siedzę w hotelu, chwilę wypoczywając przed dalszą drogą. Bo marszruta już jest ułożona od paru miesięcy. Dopiero gdy odbędzie tę podróż okólną, zresztą bardzo dobrze zorganizowaną, zaczęną podróżować na nowo, na własną rękę. Popatrz, pożyję

W hotelu o ślicznej maurytańskiej dokoła biegnącej kolumnadzie — lecz co nie jest śliczne w tym słońcu? — wewnątrz tymczasem przeobraża się na przedświąteczny „home” angielski. Jest bowiem wigilia Bożego Narodzenia: 24 grudnia. W kominku pali się ogień, choć ledwie o tyle

chłodno, że już nie można siedzieć na dworze wśród kwiatów, gdy słońce zaszło. Służba przeprosiła gości i rozwiesza nam nad głowami papierowe girlandy. Wszyscy, t. j. wszystkie pięć, sześć osób piszą kartki na Christmas. Ja, naturalnie list, by cokolwiek zanotować z wrażeń, a głównie żeby móc dłużej nie widzieć tych papierowych szkaradzeństw. Bo czy mam jeszcze pełne Tadż-Mahal, tego marzenia zaklętego w marmur, marzenia sultana o odeszłej na wieki sultance, Tadż-Mahal, akord harmonii i wdzięku, wysniony pałac umarłych, gdzie na białych marmurowych ścianach wykwitają przednich barw z drogich kamieni kwiaty. — Właściwiej należałoby powiedzieć: wykwitały,

Anna Turowska

Z cyklu „Wielkanoc”

Grób Chrystusa w Kościele Kapucynów

Kwiaty! Kwiaty! Kwiaty!

Kwiaty wieczorne — poranne!

Kwiaty świeżo rozkwitnione,

Kielichy — puchy — grona — korony —

Chyba z łąk niebieskich rwane —

Białe — żółte — pasowe,

Same wiosenne!

Błękitne — różowe — rosą sperłone —

Promienne!

Kwiaty! Kwiaty!

Jak krwi szkarłaty,

Jak gwiazdy złote — jak święty różane,

Jak noc błękitne,

Małe i duże,

Okryły barwną pianą

Grobu podnoże.....

A w górze

Monstrancja ze świętą Hostią życia,

Z śnieżnych welonów spowicia

Błyszczą, jak księżyc w oparach mgły —

Tak cudne, jak ten Grobu cud,

Mogą być tylko dusz wybranych sny!

— — — — —

Anioły — Anioły — Anioły —

Otoczają niewidzialnie Grób Pana —

I melodia „Ciszy”, niezrównana,

Płynie, z wonią kwiatów pospoły...

A gdzieś z nieba — od słońca — z góry,

Przez splecione zieleni chmury —

Idzie Moc spokojna, ogromna —

I ta Miłość jedyna — wiekopomna —

Co na ziemi spłynęła niżej,

Ze wzgórz, gdzie przed wiekami stały Krzyże!

Oto lśni tu w każdym świetle migocie,

Co krzesają brylantów krocie,

Wokół śnieżnej Hostii Zbawienia:

Jak Zmartwychwstania symbol biały —

Więc modlitw ogniste strzały,

I bólów najcięższe westchnienia

Z serc cięciwy ulatują doń w zaświaty —

A w koło, barw tęczy rozchwiewają,

Płaczą się — kołyszą — wonieją

Kwiaty — Kwiaty — Kwiaty — Kwiaty —

póki ich nie pokradziono. — Ale i tak jest tego piękna za wiele. — I patrzyłam też na Tadż dzień rano z tych samych okien fortecy, skąd Szach Dżehan, sielem lat więziony przez syna, patrzył przed śmiercią na grobowiec ukochanej żony.

Za godzinę jedziemy dalej. Już nie zobaczymy więcej tych spokojnie pięknych, niewzruszalnych świadectw potęgi Wielkiego Mogoła, ani tych ogromnych, nawpół zrujnowanych fortów, gdzie teraz legną się gady i skąd nocami wychodzą na żer tygrysy. Niegdyś z tych fortów polowano na ludzi; teraz poluje się w nich na dzikie zwierzęta. — Groby, wspaniałe groby dokoła.

Jadę do Delhi, siedem razy burzonego, siedem razy na nowo budowanego miasta. Ruiny, ruiny; już nie żalosne nawet a wstrętne opuszczenie, sypka czerwona glina. Czy dlatego, że tyle krwi ludzkiej w nią wsiąkło? Nigdzie chyba od szeregu wieków tak się nie mordowano, jak tu na tej równinie, skąd najlepiej widać Indiami. I ostatni dramat, zwany buntem sipajów, tu się też rozegrał, a święta, prześwięta Dżama cierpliwie niosła na swych fa'ach trupy do świętszego jeszcze Gangesu. Teraz to już wszystko spłynęło.

Te nędzne rzekome przedmieścia były niedługo miastem: u stóp monumentalnych triumfalnych bram o przedziwnie pięknej architekturze gnieźdzą się lepianki, jakieś jamy mieszkalne. Nagle czuję się myślą daleko. Gdzie?... Ależ to w Rzymie, przy portyku Oktawii: między cienkimi, wytwornymi, kolumnami Koryntu przeciągnięte sznury, a na nich niedoprawa bielizna, a w dole mnóstwo dzieciaków, jeden brudniejszy od drugiego. Kilka lat temu.

Za tym Old Delhi — New Delhi, piękne, bogate. Dzielnica rządowa, tak wspaniała, że nawet ktoby nic nie wiedział o panujących stosunkach, zrozumie od razu, co zawiera w sobie wyraz „Imperium”. Ale ani o Delhi, stolicy obecnego cesarstwa Indji, ani o Delhi cesarza Akbarar, mówić tu nie będę. Zwłaszcza o tym ostatnim: zbyt piękne, by je w słowie można było zawrzeć. Zresztą widziałam je dopiero następnych dni. Teraz jestem w Swiss Hotel, który prócz nazwy nic nie ma w sobie szwajcarskiego. Wielki, ładnie położony, pełny Anglików i zimny. Bo spadła jakaś przenikliwa mgła; słońce zaś, które cały dzień dopiekało, do pokojów nie dochodzi: hotele tak są budowane, że pokoje mieszkalne wychodzą na biegnący dokoła krużganek, szeroki, wsparty na rzędzie zgrabnych kolumnienek. Nie podobna przecież wpuszczać słońca do mieszkania: kto by wytrzymał?

Gości tak pełno, że pokój mój jeszcze nie gotowy, sprząta go pięciu Hindusów. Jeden zbiera papiery, drugi zamiata, trzeci patrzy, a czwarty pilnuje. Schodzę do salonu. W kominkach się pali, przed nimi damy otulone w futra, jakby były w Londynie. Nudzą się widocznie. Nudzą się też panowie, którzy wakacje Bożego Narodzenia w hotelu spędzają. Obwieziona świecidlami mała choinka (do lasów świerkowych stąd daleko) nie dodaje jakoś wesołości. Jakies niewidzialne radio czy gramofon rozsyła pobożny hymn angielski. Nagle znane dźwięki: starofrancuska kolęda „Narodziło się Boskie dzieciątko”. Tak, to naprawdę Boże Narodzenie. Dziś wigilia, prawdziwy, istotny, niegdyś w tych świątecznych właśnie dniach obchodzony Nowy Rok.

Nudzą się angielscy goście, urzędnicy, co nie zdołali na święta pojechać do Europy. Bezszelestnie snują się po miękkim dywanie sali jadalnej ślicznie ubrani i sami śliczni Hindusi-służący, z najpiękniejszej, czysto aryjskiej, ludności. Ubrani całkiem biało; długie, białe, za kolana kaftany przepasane szerokim pasowym pasem, biały turban z pasową ukośną przepaską. Aksamiłne uważne oczy; ruchy niby powolne, w istocie zaś szybkie a zręczne. Najstarszy, po naszymu obelkelner, mahometanin, jak przeważnie bywa na tym stanowisku, odróżnia się czarnym pasem na białym ubraniu i nieco mongolską twarzą, groźnie patrzącą na podwładnych. Je-

szcze starszy od niego, przełożony widocznie nad całą służbą, po europejsku, całkowicie czarno ubrany. Jakże brzydki ze swoją ciemną twarzą! Owi Anglo-Indianie zapominają najczęściej zabrać do swoich mieszanych przodków ich zalety; a to wady czeplają się ich chętnie. — Zaznaczam, że nie chcę uogólniać, jak to się zbyt pochopnie dzieje w Indiach. Spotykałam wielu mieszkańców (Anglo-Indians i in.) bardzo sympatycznych i zacnych.

Gdy w parę dni później jadę Wielką Drogą (Great Trunk Road), drogą jeszcze przez radzów indyjskich na parę wieków przed Chrystusem przeprowadzoną z północy-zachodu na wschód, potrójną szeroką aleją o rozłożystych sękatach z pokrzyżowanymi konarami drzewach, gdy mijam długie linie ciągnących jeden za drugim wielbłądów, widzę na uboczu jakiś skromny, gliniany domek. Ściany jego, tylko częściowo oblepione krowimi „ciasteczkami“, maluje jakaś kobieta, ciemno-czerwona figurynka na tle żółtych murów. Maluje nad drzwiami białe kółka, tworząc z nich trójkąty. Zaczyna to być prawie ładne, jakby delikatny wzór. Co ona robi! To żona brahmana, który zbiegiem okoliczności przeniósł się na północ z gorętszych krain wybrzeża Koromandelskiego. Niedługo zaczął tam obchodzić rok nowy, zaraz po nowiu styczniowym. Zapala ogień przed świątynią, upieką w nim placki zbożowe, ofiarują je bóstwu a po tym rozdziela między sobą. Będzie też muzyka, bębny, w które Hindusi tak umieją grać obiema dłońmi, jak nikt na świecie; będą flety i „vina“, lutnia indyjska. Nawet tańce. Ale brahman, członek najwyższej kasty, tych zabaw nie dzieli: one przystoją pół-cywilizowanym, pół-dzikim leśnym i górskim plemionom („hill and forest tribes“). Brahman odprawi modły i oddał się, wzięwszy dątek, do swego pomalowanego w delikatne wzory na tę uroczystość domu. Do takiego, jak ten oto, co go gospodyni zaczyna przystrajac.

W nasz europejski Nowy Rok znalazłam się w Kalkucie. Na ogromnym dworcu przyjazdowym Haura (ang. Howrah) ruch szalony. Kulisi w amarantowych bluzach i takichże turbanach — Indie to nieustanna orgia barw — ciemni, o gorączkowo płonących oczach, chudzi, na tak cienkich nogach, że wyglądają jak piszczele i dziw bierze, że się nie łamią, chodzą lekkim ruchem, dźwigając kufry na głowie. Gdy pierwszy raz widziałam to spiętrzenie ciężkich waliz na głowie nędznego, jakby wiecznie głodnego,

a ślicznie ubranego biedaka, zapytałam, jak to być może, by ktoś coś podobnego dźwignął. „Ale to nie były bagaże Europejczyka, zapewne?“, odpowiedziano mi. — ? — Zrozumiałam nareszcie. Waga absolutna naszych bagaży jest może wszędzie taka sama, ale waga ich względna cięższą jest dla kulisa. Rzuci ich się zwykle pięciu na trzy walizki. A gdy je weźmie jeden, żąda odpowiedniej ponad taryfę zapłaty.

Kalkuta. Kto by jej nienawidził, niech przeczyta Kiplinga „The town of the dreadful night“ czy coś podobnego. Ucieszy się, że znalazł bratnią duszę. W rzeczywistości przecież tak źle nie jest. Miasto wspaniałe — świadectwo potęgi angielskiej — tam, gdzie jest wspaniałe; gdzie indziej — świadectwo żywotności a i nędzy ludu. Świadectwo, że tak rzekę, jego „dziwności“.

Ale o tym wszystkim ani o wielu innych rzeczach, pięknych, strasznych, podniosłych czy niskich tu pisać nie będę. Znajdą one miejsce w osobnej książce. Tymczasem jest nasz Nowy Rok, 1 stycznia 1937. Rozpakowuję się w obszernej pokoju na III piętrze wielkiego, bardzo drogiego hotelu (niech się już Cook oto martwi, skoro mnie tu przywiozł). Gorąco. A łazienka — istna łaźnia! Służba leniwa i dość zuchwała; panowie z portierni protekcyjnymi. Mam iść do biura Cook'a. Nie biorę taksówki. Piechotą? Dziwią się. — No tak, piechotą, przecież to blisko na mapie.

Rada jestem, że w szerokiej ulicy, wśród ogromnego majdanu nie będę czuła zapachów kuchennych, które — w wielkim przecie — podwórzu dochodziły aż na III czy IV piętro. Te zapachy kuchenne to czarna strona mego pobytu w mieście, w tak niesłychane walory obfitującym, jak Kalkuta, oraz w miejscowości tak niesłychanie pięknej jak Dardziling.

Tymczasem idę, a droga się dziwnie wydłuża. Dziwnie. Tak lubię upał, lato, słońce, a tu ten upał zimowy jakoś szczególnie ciężki. Ktoś, co dużo podróżował mówił mi, że najbardziej niezdrów miasto, to Madryt, a po nim Kraków. — ? — Napewno ten pan nie był w Kalkucie.

W biurze starcie. Najpierw z urzędnikiem, lecz to się wyjaśniło natychmiast, raz dlatego, że urzędnik okazał się dżentelmenem, a powtóre dlatego, że nimo święta nie zaważał się wyszukać w archiwum aktów podróży. Gorsze było starcie z dwiema towarzyszkami, z którymi miałam jechać dalej. Te panie znalazły w Kalkucie

znajomych, którzy się tam niedawno przenieśli z Europy środkowej. Postanowiły zmienić ustaloną przed kilku miesiącami program podróży, a nie mogły tego zrobić bez mego współdziałania. Opierałam się zmiennie, sama dziwiąc się swej odwadze, tracąc też zarazem sympatię obydwóch towarzyszek. Tak niefortunnie zaczął być Rok Nowy. Dalszy ciąg tego początku był również nie świetny. Wypadło mi być tegoż dnia na zebraniu Hindusów, przeważnie kolegów po fachu, profesorów. Omawialiśmy kwestie wszystkich nas interesujące i, naturalnie, tyżące się też spraw indyjskich. Byłam wtedy pod wrażeniem ofiar zwierzęcych w świątyni Kali, okrutnej ale wielbionej jako Matka świata bogini; pod zmieszonym też wrażeniem rzeczy i ludzi nie dawno widzianych w Benares. Nie spodziewając się sama, dotknęłam uczuć jednego z gości, czczonego „swami“, który to tytuł odpowiada naszemu „wielebny“. Zapomniałam, jak dalece Hindusi z łatwo rozumiałych przyczyn, o których nie tu miejsce mówić — są wrażliwi na opinię, jaką się ma o wszystkim, co ich dotyczy. Zapomniałam... iż nieostrożne mówienie t. zw. prawdy bywa szkodliwe.

A wszystko przez to, że w rozmaity sposób zapatrywaliśmy się między innymi na uroczystości wiosenne, które choć rozmaicie w różnych punktach Indji się odbywają, wszystkie mają jedną cechę wspólną: uwielbienie życia i płodności. Zapewnić tę ostatnią dla bydła, roślin i ludzi oto cel i sens obrządków, które społeczeństwa rolnicze — a takim jest hinduskie — najdłużej zachowują. Dla tego też dziś jeszcze w Indiach, jak do niedawna u nas, przepędzają bydło przez ogień; dla tego niedopalony pień ciągną w niektórych miejscowościach do rzeki i topią „stary rok“, jak u nas topiono Marzannę; dla tego też w plemieniu Gondów, w środkowych Prowincjach, i dalej na południe, w Dekanie, najpierw się oplakuje — tak przynajmniej folklorzyści tłómaczą gesty rytualne — śmierć Kāmy, boga miłości i — w Indiach południowych — urodzaju, a potem radują się z jego odrodzenia i zapalają drugi ogień, jeszcze jaskrawszy. Stąd też swobodne zachowanie się pici w owym świątecznym czasie. Młodzież skacze przez ogień, jak na nasze Sobótki; czynią to nawet starsi jako zabieg przeciw chorobom skórnyom i innym dolegliwościom.

(Dokończenie w następnym numerze).

Ks. Jan Salamucha

o szkodliwym pesymizmie i fałszywym optymizmie

(Z OKAZJI 150-LECIA URODZIN SCHOPENHAUERA).

Umysłowość europejska mało okazuje skłonności do pesymizmu, odczynną jego jest Azja; tam się on narodził i tam znajduje podatny grunt do bujnego krzewienia się — bo trudno mówić o jego rozwoju. W myśli europejskiej pojawia się pesymizm przejściowo, w pewnych okresach — i znika prędko z jej horyzontu, pozostawiając po sobie co najwyżej ukryte i rozproszone skutki; nie ma on wyraźnego wpływu na kształtowanie się kultury europejskiej.

W pierwszych wiekach naszej ery spotykamy się z tendencjami pesymistycznymi u gnostyków i manichejczyków; przyniesione one zostały ze Wschodu i, pomimo przez parę wieków trwających prób, w grunt europejski korzeni nie zapuściły. Podobne tendencje pojawiają się w pierwszych wiekach drugiego tysiąclecia naszej ery u albigensów, waldensów i katarów; może odegrały tu pewną rolę tradycje gnostyckie i manichejskie, ale wywołane też były na pewno te pesymistyczne tendencje sztuczną paniką „przełomu tysiącleci“, a potem podtrzymywały je trudne warunki fermentów społecznych, kiedy ustrój feudalny zaczął się chylić ku upadkowi, a nowy porządek zaczynał dopiero się tworzyć. — Zniknęły z czasem doszczętnie, jak zniknęły przejściowe warunki, które je wywołały i podtrzymywały. W w. XIX pojawia się pesymizm w myśli europejskiej po raz trzeci.

Głoszony przez Schopenhauera, człowieka o wybitnej kulturze intelektualnej i olbrzymiej dynamice uczuciowej, płynnie wartkim potokiem, ale potok to bardzo w wodę ubogi; z wybitnymi przedstawicielami współczesnej sobie filozofii pozostawał Schopenhauer przez całe życie w stanie otwartej wojny, szkoły nie założył, a i po śmierci nie znalazł wybitnych kontynuatorów. I znowu rozwijał się ten schopenhauerowski pesymizm pod wyraźnymi wpływami filozofii hinduskiej, a na gruncie europejskim — zrodził tylko mocną reakcję, brutalną wolę życia i użycia nietzscheańskiego nadczłowieka. Porównywał Schopenhauer życie do morza pełnego raf i skał podwodnych; trzeba ostrożnie płynąć, żeby te niebezpieczeństwa wymijać, ale, mimo wszystko, ta trudna żegluga mu-

si się wreszcie skończyć katastrofą — bo istnienie jest tylko cierpieniem i ustawiczną grozą, wybawieniem jest niszcząca wszystko śmierć. Idealem etycznym jest dla Schopenhauera człowiek, który zabił w sobie przez negatywną ascezę wszelką chęć życia; naczelną cnotą ma być, raczej bierna niż czynna, litość i współczucie ze współcierpiącymi. Przed takim poglądem na życie broni się Europejczyk wszystkimi siłami swej czynnej i celowo zorientowanej natury.

Na kształtowanie się kultury europejskiej daleko większy wpływ wywierały i wywierają różne fałszywe optymizmy.

Już w renesansowej walce o reformę nauki i wolność człowieka podskórny prądem, obficie zasilającym całe to ówczesne bujne, bogate życie, była wiara, że człowiek będzie i szczęśliwy, i szlachetny, jeżeli tylko zdobędzie dokładne poznanie środowiska, w którym żyje, i zrzuci z siebie narzucone mu z zewnątrz więzy moralne. Ta wiara w naturalną dobroć człowieka rozwija się z czasem coraz bardziej, a szczytowe nasilenie teoretyczne sięga w filozofii Jana Jakuba Rousseau i u encyklopedystów. Od tej chwili zaczyna mocno wpływać na formy życia zbiorowego; jest u podstaw demokracji politycznych, liberalizmu gospodarczego i — w rezultacie doprowadza do takich katastrofalnych pogmatwań, że dzisiaj wszyscy widzimy, iż nazbyt jawnie i wyraźnie, potrzebę rewizji dotychczasowych podstawowych przekonań.

Rozkochany w ziemi, w świadomej nienawiści do Boga i wszelkiej religii wołał Nietzsche: „Zaklinam was, moi bracia, pozostacie wierni ziemi i nie wiercie tym, którzy wam o nadziemskich mówią nadziejach! Są to truciele...“ Czy trzeba było aż tyle energii przy takim heroldowaniu?...

Kiedy rozbudowany na złudnej wierze w naturalną dobroć człowieka gmach życia zbiorowego zaczął się chwiać, pękać i w gruzy się rozsypywać, zamiast dotychczasowego mirażu optymistycznego zaczyna nam oczy mamić miraż inny: fałszywy optymizm indywidualistyczny ustępuje miejsca fałszywemu optymizmowi społecznemu. Prawa jednostki ludzkiej mają być zredukowane dokładnie do roli kółeczka w maszynie czy komór-

ki w organizmie; jeżeli się nie udało zorganizować po ziemsku życia, kiedy indywiduum ludzkie było celem, to się je chce po ziemsku organizować, biorąc za cel zbiorowość: zbiorowość będzie potężnym, mocnym, sprawnie działającym organizmem, a człowiek ma być tylko częścią składową, której prawa są wyznaczone dokładnie i bez reszty przez interes zbiorowości — wykładnikiem interesu zbiorowego będzie, oczywiście, wola, tak czy inaczej zorganizowanej, biurokracji. Ten miraż szczęśliwej, potężnej zbiorowości jest ideałem dzisiejszego komunizmu — dlatego w tak niepojęty sposób lekceważy się tam jednostkę ludzką. W reportażach Sołowiewicza ideowy czekista w przystępie szczerości tak się zwierza: „Rozumie się, bez ofiar obejść się nie można. Wy mówicie, za pomocą karabinów maszynowych? Nie trzeba znowu zbyt wysoko cenić życia ludzkiego. Gdy rząd buduje kolej, zawsze są ofiary w ludziach. Statystyka, zdaje się, wyliczyła nawet, że na tyle to i tyle kilometrów toru przypada w ciągu roku tyle to ofiar w ludziach. Czyż zdaniem waszym nie należy budować kolei? Nic tu nie można poradzić. Matematyka... Dowódca, który podczas walki będzie myśleć nie o zwycięstwie, a o tym, jakby tu uniknąć strat, dowódca taki nic nie jest wart. Mówicie — „potworności rewolucji“. To są puste słowa. Potworności wtedy tylko pozostają potwornościami, gdy ich jest za mało. Gdy jednak cel jest osiągnięty, stają się świętą ofiarą... My myślimy nie o stratach, a o zwycięstwie. Nam cofać się nie wolno. Nie wolno się cofać przed żadnymi stratami. Jeśli my na jeden choćby centymetr do socjalizmu nie dociągniemy, to będą to jedynic potworności inic więcej. Wtedy idea socjalizmu zostanie na zawsze zdyskredytowana. Zatrzymać się nie możemy. Jeszcze 10 milionów, jeszcze 20 milionów. Wszystko jedno...“

Tony fałszywego optymizmu społecznego słychać także, choć mniej wyraźnie, w wielu wypowiedziach w współczesnych, różnego autoramentu, totalistach.

Zdaje się, że Europa od dawna żyje i żyć dalej chce fałszywymi optymizmami; zgrawszy się w optymizmie indywidualistycznym, zaczyna grać fał-

Zygmunt Welpa

WIELKANOC W LITURGII CHRZEŚCIJAŃSKIEGO WSCHODU

Było to wnet po rewolucji październikowej w Rosji. Staraniem bezbożników urządzono w jednym z teatrów moskiewskich, dysputę religijną podczas której w różny sposób starano się udowodnić, że Bóg to wymysł burżujów dla zgębienia nieszczęśliwego proletariatu, że religia to opium dla ludu itd. Na dyspucie tej był obecny pewien kapłan prawosławny. Po skończeniu „mądrych“ referatów rozmaitych „towarzyszy“, rozpoczęto dyskusję. Wtedy na estradę wchodzi ów kapłan starszerek i głosem pełnym przekonania woła na całą salę:

(Dokończenie artykułu Ks. Jana Salamuchy).

szwym optymizmem społecznym. Czy nowa próba nie skończy się jeszcze gorszą katastrofą? — I czy po nowej przegranej znajdzie się jeszcze jakiś trzeci fałszywy optymizm, który zacznie nas wabić? — Czy też wrócimy naiwnie do zgranych już złudzeń? — Może przyjdzie, istotnie, tak bolesnie tańczyć dokoła, od uludy do uludy, — jeżeli wszystkimi złymi siłami będziemy się dalej opierać przed zajęciem zdecydowanej chrześcijańskiej postawy życiowej.

Chrześcijańska postawa życiowa jest równie daleka od bezwładnego pesymizmu Wschodu, jak jest daleka od wszelkich mielizn płytkiego optymizmu. Dramat życia ludzkiego, indywidualnego i zbiorowego, rozwija się na scenie — przyciemnionej grzechem pierwotnym, oświeconej łaską Odkupienia; symbolem życia jest i krzyż, i zmartwychwstanie. Życie ziemskie jest ustawicznym, celowym dążeniem, opromienionym radością wysiłku; celem jest niebo — radość wieczna, wypełniona treścią nieskończonego rozwoju. Formy życia zbiorowego powinny być tak rozwijane, żeby tworzyły dla jednostki ludzkiej coraz lepsze warunki dla tego jej indywidualnego, celowego dążenia — chociaż nigdy od indywidualnego wysiłku jej nie zwolnią; nigdy nie wymyślimy takich form życia zbiorowego, które by uniezależniły funkcjonowanie całości od moralności jednostek. Miraż fałszywego optymizmu społecznego jest, jak się zdaje, co najmniej równie niebezpieczny jak miraż fałszywego optymizmu indywidualistycznego.

Jeżeli prawdą jest, że myśl europejska ulega ciągle omamom fałszywego optymizmu, to Schopenhauer, przez swój skrajny, fałszywy pesymizm, wniósł do jej treści wkład pozytywny o tyle, że, ukazawszy w przejaskrawionym świetle biegun przeciwny, ułatwił właściwą orientację.

Dr Jan Magiera

Urok litewskiej ludowości

Książd Józef Ambrożewicz w przedmowie do swego „Polsko - litewsko - rosyjskiego Słownika“ (Wilno 1907) oddaje pokłon „starej litewskiej mowie, tj. świętej pozostałości głębokiej starożytności praocjów, mowie, która dziś jest fundamentem i kluczem dla języków aryjskich. Uchylają bowiem przed naszą staruszką głowę nie tylko języki nowożytny, lecz i najstarsze, jako to: łaciński, grecki i sanskrycki, które według opinii językoznawców współczesnych są młodsze od litewskiego“. Do studium tego najstarszego z indoeuropejskich języka (obok sanskrytu) zachęcał swych rodaków — językoznawców prof. Rozwadowski, który w 1896 r. z pietyzmem wydał ponownie starą (z r. 1737) „Uniuersitatem linguarum Lituaniae in principali Ducatus eiusdem dialecto“. A ta pierwotna mowa przechowała ją przez lat tysiące na świętej Zmudzi starej a dzisiejszej Litwie kowieńskiej najczystszej i nieskalanej w osiedlach ludzkich wśród jezior, oparzelisk i między matecznikami.

„Normalizacja“ stosunków polsko-litewskich otwiera miłośnikom językoznawstwa bramę do rajów i krynicy językopoznawczej.

Vladimir Sis w pracy „Zemle pismi a krziżu“ zachwyca się pierwotnością litewskiej wioski. Drzewiane kapliczki przypominają mu stare dzwonicie w Słowacji. Budzi w nim podziw chłopcy pracowity i jego zdolność autarkyczna; sam sobie wszystko zrobi i wykona, czego potrzebuje i bez czego się nie obejdzie, a więc pług i bronę, wózek i sanie — wszystko bez żelaza — to jego ręce zdziały. Dla kobiet w każdym domku jest przynajmniej jeden kołowrotek, przy nim niewiasta starodawnym sposobem przędzie i tkaninę ciągnie, przyspiewując sobie i towarzyszkom.

W zabudowaniu Litwina przyciąga ku sobie uwagę przybysza przytulona do chaty komórka, mająca znaczenie równe przeznaczeniu spichrza słowackiego lub nadzbia podhalańskiego; tu chłopiec umieszcza swe bogactwa: zboże, płótno, skóry, a nadto i najbogatszy skarb — swoje córki; one tutaj śpią i roją swe marzenia. Dlatego też komora tak często jest w pieśni ludowej wspomniana.

Chata litewska jest dymna, kominów im nie trzeba, dym sobie sam musi znaleźć ujście i wy-

„Bratia, Christos woskresie“ (Chrystus zmartwychwstał). A na to cała sala jak jeden mąż: „Wo istinu woskresie“ (zaprawdę zmartwychwstał). Tak to na nic się przydały wywody bolszewickich demagogów, bo w sercach zebranych buchnęła potężnym płomieniem wiary, drżemiąca w ich sercu iskra Boża, dla których podmuchem były dwa słowa staruszka kapłana głoszące nasz podstawowy dogmat o Zmartwychwstaniu.

Święto Zmartwychwstania na Wschodzie to coś tak specjalnego, co do pewnego stopnia wykracza poza ramy roku kościelnego. O jego znaczeniu w sensie liturgicznym niech świadczy to, iż „oktawa“ jego trwa dni czterdzieści. Liturgia tych dni czterdziestu na każdym prawie kroku tchnie tą paschalną podniosłością, która tak żywo przypomina okres pierwotnego chrześcijaństwa.

W starożytnym kościele Pascha początkowo była poświęcona rozpamiętywaniu śmierci Chrystusa, szczególnie na Wschodzie. Zachód chrześcijański z czasem pierwszy wprowadził święcenie Paschy, jako pamiątki Zmartwychwstania i zwycięstwa Dobra nad Złym. Jednakże nie wcześniej niż w V w. Nazwą Paschy zaczęto określać wyłącznie pamiątkę Zmartwychwstania. Chryścianizm zdobywał wtedy coraz nowe narody. Krzyż rozszerzał swe panowanie nad światem; słusnym przeto było, iż Paschę święcono jako pamiątkę Zmartwychwstania, więc triumfu i zwycięstwa. A poza tym wszak dogmat Zmartwychwstania, jest kamieniem węgielnym naszej wiary, bo przypieczętowaniem wszystkiego, co głosił i czynił Chrystus w czasie Swego ziemskiego żywota.

Dlatego też nabożeństwa paschalne zarówno na chrześcijańskim Wschodzie jak i na chrześcijańskim Zachodzie są bardzo starego pochodzenia. Stąd pełno w nich pewnej sakralności, połączonej z głęboką mistyką i symboliką. Symbolika ta występuje szczególnie na Wschodzie.

Wielka niedziela dla przeciętnego chrześcijanina Zachodu to zakończenie Wielkiego Postu, to jakby ukoronowanie całego Wielkiego Tygodnia. Dla chrześcijan wschodnich Wielka Niedziela, to rozpoczęcie nowego okresu, pełnego radości i duchowych wzlotów, okresu paschalnego.

W głęboką północ rozlega się uroczyste głos dzwonu, wzywający wiernych na Rezurekcję. — Punktualnie o północy wyrusza ze świątyni procesja przy radosnym śpiewie paschalnych pieśni, i bicie dzwonów wieszczących chwałę Zmartwychwstałemu. Po trzykrotnym obejściu świątyni roz-

ście poza sień i nad strzechę. Gotują w kotle zawieszonym nad ogniskiem jak w bacówce na hali. Ale w białej izbie znajdziesz i piec ogromny, pod ścianami zaś długie ławy — na takich siadało i rycerstwo Litawora ongiś. Na ścianach rzeźbione półeczki dla naczyń glinianych. Osobliwością tu i tam jest kołyska z pręciny wierzbowej zawieszona u powały, osobliwością jest własna łaźnia parowa pirtis. Często pomiędzy osiedlami są wiatraki, którym rolnik powierza ziarno, a one go darzą za żytnią i pszeniczną mąką. Niełatwo znaleźć tu młyn wodny; byłby tu czymś nie zwykłym.

Od czasów krzyżackich cechą krajobrazu litewskiego jest sterczący przy rozdrożach wysoki krzyż, nieraz trzem piętrom dorównujący, a na nim wiele drobnych krzyżyków pamiątkowych jak wotów na ołtarzach lub obrazach cudownych. Malarz A. Varnas sfotografował ponad trzy tysiące tych charakterystycznych i kaplic i krzyży. Słynny jest „Kryziu Kalnas“ — kopiec krzyżów. Legenda mówi, że krzyż ten stoi jako pamiątka na miejscu zburzonego kościoła. W początku pod nim okapała się schorzała staruszka i ozdrowiała. Po cud taki przychodzili za nią inni i inni, stawiali krzyże, aż wyrósł prawdziwy las krzyżów na pagórku.

Stary pogański jeszcze kult śmierci i kult sił przyrody, jakimi są Słońce i Księżyc, wyraził się w artystycznych rzeźbach, nawet w ozdobach krzyżów. Sztuka litewskiego rzeźbiarza przypomina i wywołuje w pamięci sztukę Detwanów, tych najpierwotniejszych dzisiaj jeszcze w słowackim zakątku gazdów i baców.

Słowik i kukułka to najbliżsi śpiewni towarzysze oracza i myśliwego, który przez mroczne lasy krocząc, wypełnia sobie duszę zadumą tajemniczą, aż natrafi na ciemne jeziorko, w nimoczy zatonione słońce i wtedy przystanie. W widokach takiej puszczy kapał się duch poetycki Mickiewicza. Za głuszcem przez litewską „Puszczę“ szedł Weysenhoff. Syn przyrody malarz Mikołaj Ciurilone pochwytał te krajobrazy na swą paletę. Z jego obrazów tchnie tęskna melodia ludowej śpiewki „dajny“ litewskiej.

Miłosna pieśń ludowa nie goni za rymem, starczy jej rytmika. Rada się zdobi zdobniami delikatnymi przymiotnikami i rzeczownikami. Sis przytoczył dwie bardzo ciekawe piosenki: Młodzian prosi Boga, by się dlań dziewczyna urodziła nie w samej jego wsi, bo musiałby stałe konia

poczyna się uroczysta paschalna Jutrznia. Aż pod same niebiosa uderza radosna pieśń:

„Christos woskresie iz mirtwych, smiertju smierti popraw i suszczym wo grobiech zivot darowaw“. (Chrystus powstał z martwych, przez śmierć swą zwyciężył i będącym w grobach zivot (wieczny) darował).

Odtąd ta radosna pieśń zwycięstwa co chwila będzie się przebiegać wśród pieśni cerkiewnych, jak drogocenny kamień będzie się mienić mnogością odcieni czy melodii. Odtąd pieśń ta nie zjedzie z ust wiernych, aż do samego Wniebowstąpienia.

Wieść o Zmartwychwstaniu budzi i utrzymuje podniosłe uczucia, uczucie radości i jakby mistycznego uniesienia. Kapłani naprzemian z ludem co chwila głoszą tę wieść, i jakby w upojeniu wieść tę dziesiątki razy powtarzają. Ginie przegroda między ołtarzem a ludem. Wszyscy zjednoczeni w radosnym upojeniu głoszą wspólnie chwałę Zmartwychwstania.

Procesja wchodzi do cerkwi... Następuje wielka ektenia (modlitwa, głoszona przez kapłana lub diakona, składająca się z wielu wezwań, na które lud odpowiada: Panie zmiłuj się — Kyrie eleison), a po niej najważniejsza część paschalnej Jutrznia, kanon św. Jana Damasceńskiego.

Kanon ten to jakby jedna wielka doksologia Zmartwychwstania. Składa się on z 9 pieśni, które znowu składają się z mniejszych jakby zwrotek t. zw. troparów. Przepiękny ten kanon, śpiewany naprzemian to przez duchowieństwo, to przez lud, zawiera dogmatyczne ujęcie całej nauki Kościoła o Zmartwychwstaniu w przepięknej formie poetyckiej. Mamy więc tam wspomnianie i prorocтва Staroego Testamentu i Mękę Pańską i Pogrzeb, ale nade wszystko przebija myśl jedna: Zmartwychwstanie.

Pióro nie jest w stanie opisać tego uniesienia, jakie widać na twarzach obecnych. Wszyscy zjednoczeni jedną myślą, wszyscy zjednoczeni jednym uczuciem. Wszyscy co chwila podchwytyją radosne: „Christos woskresie“, i ślą dalej tę wieść cudowną na świat cały, sercem i ustami wołając: „wo istinnu woskresie“.

A po tym następuje moment najrzewniejszy. Chór rozpoczyna śpiew specjalnych wierszy, pieśni doksologicznych Paschy. Oto niektóre z nich:

„...Pascha święta dzisiaj się nam ukazała, Pascha nowa i święta, Pascha atajona, Pascha czciogodna, Pascha — Chrystus — Wybawiciel, Pascha Niepokalana, Pascha Wielka, Pascha wiernych,

karmić i przejeżdżać codziennie popod jej oknami, niech raczej o wiorstę miła żyje, a będzie do niej co niedzielę jeździł. Dziewczyna podobna ma także pragnienie by jej chłopiec nie był za blisko jej domu, codziennie by szaty swoje prac musiała i wciąż chodzić białą i czysto ubrana. Niech mieszka o wiorstę od niej oddalony, a wtedy starczy jej raz w tydzień przyodziać się czysto, na niedzielę.

Najpiękniejszą jednak jest pieśń o miłości matki i ku matce. Oto i ona: „jechałem ja przez most, mostek się załamał, ja zivot straciłem. Przylecieli trzej ptaszki, siadł mi u nóg jeden, a drugi u boku, trzeci zaś — kukułka siwawa — u mej głowy siadła. Ten co siadł przy nogach toć to moja luba, a ten, co przy boku, to ma siostra miła. Ptaszę zaś u głowy to kochana macierz, matka moja stara. Dziewczyna kochana przez trzy dni płakała, a siostrunia całe trzy roky lzy lała. Matuchna zaś, która mię karmiła i chowała, zivot swój już wszystkie we łzach przeżywała“.

„Dajny“ litewskie już w epoce Ossianowych śpiewów znieły licznych poetów — tłumaczy z Goethem i Herderem na czele. Zastłuchani w melodię litewskiej pieśni stwierdzili folklorysty, że pieśń jest towarzyszką nieodstępą w każdym zajęciu Litwina. Mówi skąpo, ale nuci bogato. „Piosenką rozmawia samotny podróżnik z duchami leśnymi, nieuczenie śpiewają chłopcy i dziewczęta“ pracowici chłopkowie i weseli godownicy, śpiewa wszystkie naród, nade wszystko swą przyrodę miłującą, śpiewa ziemia wszystka, w niej każdy potoczek i każde drzewko ma swą historię, swe legendy i pieśń swą. Ziemia ta wydycha mistycznie wabiącą kraś i żyje w rytmie zadziwienia godnym. Największe bogactwo ludowych pieśni ma kraina Dajnawa i od niej piosenki „dajny“ nazwano.

Urok Litwy stanowi jej mieszkanię i jej krajobraz, jej niebo, powietrze i ziemia tak serdecznie w „Panu Tadeuszu“ podziwiane. Jeziorka leśne urok w czar przemieniają, a jest ich tam ponad dwa tysiące; są małe i wielkie, wgłębiione i rozlane. Z poezją jezior w zawody idzie romantyzm dolin rzecznych, nadniemeńskie brzegi i Adamowa dolina Kowieńska.

W atmosferę poezji litewskiej ciągnąć chcą po oddech balsamiczny turyści polscy ze słowami wielkiego Litwina-Polaka na wargach:

Litwo!... ty jesteś jak zdrowie!

Pascha bramy rajskie nam otwierająca, Pascha wszystkich wiernych uświęcająca...

...Pascha radosna, Pascha! Pańska Pascha! Pascha czcigodna nam zajaśniała, Pascha! Radonie jeden drugiego obejmijmy! O Pascha, wybawienie od trosk, albowiem z grobu dzisiaj, jakby z pałacu zajaśniał Chrystus...

...W Zmartwychwstania Dzień... jeden drugiego uściśnijmy! Rzeknijmy: bracie, a tym, którzy nas nienawidzą, przebacmy dla Zmartwychwstania i tak zaśpiewajmy:

Chrystus powstał z martwych, przez śmierć swą śmierć zwyciężył i będącym w grobach żywot wieczny darował.

Wtedy wszyscy obecni podchodzą kolejno do kapłana, całują krzyż, który on trzyma w ręce, następnie kapłana, wreszcie ze słowami: „Chrystus zmartwychwstał — zaprawdę zmartwychwstał” — całują się wierni wzajemnie. W tej chwili nie ma różnicy między biednym a bogatym, między panem a sługą, nie ma zawiści czy sporów. W dzień ten następuje jak gdyby zrównanie wszystkich stanów i zapomnienie krzywd.

Aby to jeszcze lepiej wyrazić, odczytuje się homilię paschalną św. Jana Złotoustego. Homilii tej nie można słuchać bez głębokiego wzruszenia. Widać, że cała dusza Złotoustego w onej chwili

przepojona była świętym zachwytem: słowo paschalne spływało radośnie z jego ust, bez ludzkiej sztuki. Dlatego, wypływając z samej duszy, do duszy przemawia i całą ją przenika najczystsza jasną radością.

W homilii swej św. Jan opowiada najpierw przypowieść Chrystusową o najemnikach. Powiada jak to dobry Pan „i pierwszego nagradza i ostatniego przyjmuje”. Głosząc dobroć Pańską i chwałę Zmartwychwstania powiada dalej Złotousty:

„...Przeto wnijdźcie wszyscy do radości Pana waszego, a wy, którzyście przyszli pierwsi i którzy przyszliście ostatni nagrodę przyjmijcie. Bogaci i ubodzy wspólnie się cieszcie. Wytrwali i leniwi dzień ten uczcijcie. Wy, którzy pościliście i wy, którzyście nie pościli, weselcie się dzisiaj: stół zastawiony... Nikt niechaj nie wyjdzie łaknący, wszyscy nasyćcie się przy uczcie wiary, wszyscy skorzystajcie z mnogości łaski. Niechaj nikt nie żali się na ubóstwo, albowiem dla wszystkich nastąpiło jedno Królestwo. Niechaj nikt nie płacze z powodu swych grzechów, albowiem dla wszystkich zajaśniało z Grobu przebaczenie. Niechaj nikt nie boi się śmierci, albowiem wyzwoliła nas Śmierć Zbawiciela; zniszczył ją Ten, którego w swej władzy trzymała... Gdzież żądło twoje, śmierci? — Gdzie twoje, piekło, zwycięstwo? Zmartwychwstał

Chrystus i tyś podeptane, zmartwychwstał Chrystus i padły demony, zmartwychwstał Chrystus i życie króluje, zmartwychwstał Chrystus i ni jeden z zmarłych w grobie. Albowiem Chrystus powstał z martwych i umarłe wyprowadził z otchłani. Jego chwała i władza niechaj będzie na wieki wieczne”.

Jutrznią dobiega końca, rozpoczyna się paschalna Msza św., msza pełna radosnych śpiewów, pełna głębokiej symboliki, Wschodnia Liturgia. Wnet rozejdą się wszyscy do swych domów, ale na znak, że Chrystus przez swą śmierć i Zmartwychwstanie otworzył nam bramy niebios w cerkiewnym ikonostasie pozostaną otwarte jako symbol carskie wrota.

Tak wyglądają obrzędy wielkanocne na chrześcijańskim Wschodzie, na tym Wschodzie, który był kolebką chrześcijaństwa, a dzisiaj prawie całkowicie pozostaje poza prawdziwym Kościołem. Wszak zaledwie 8 milionów wschodnich chrześcijan jest złączonych z Kościołem katolickim. Wszyscy pozostali trwają uporczywie w wielowiekowej schizmie. Kiedyż wreszcie przyjdzie moment, że złączeni jednością wiary, będziemy jednym sercem i jedną myślą głosili chwałę Zmartwychwstałego Pana?

—o—

Anna Wag

ŚWIĘTY OGIEŃ

Młody buk dźwigał na smukłej podporze wybujałego pnia, szeroką, sklepioną kopułę gałęzi. Na wiązaniu grubszych, kilkuletnich konarów, wystrzelały giętkie pędy, witki młodzietki, wdzięczne, obleczone gładką korą gałązki. Ziemię u korzeni, gęsto posypaną opadłym w jesieni listowiem, rozmywało źródło, zasilane wodą z tającego opodał śniegowego półka. Słońce, wdzierające się światłym klinem w okrag leszczynowego zagaju, objawiało wszystkim tajemnicę wilgotnych zarośli; tam, na zbocz, pod ściętym pnem, zakwitły białe pierwsze pączki śniegulek. Tak, to było miejsce dobre, ludziom życzliwe, nawiedzone już przez Pergrubie, panią wiosny, choć może w kraju tym inne miano nosiła.

Stara Jawnuta przyklepała na ziemi jeszcze pokrytej cienkimi, kruchymi płatkami lodu i podstawiła pod zimny, leniwie ciekący nurt, czarę z brzozonej kory. Trzęsącymi rękoma odsuwała śnieg, by więcej do naczynia napłynęło roztałej wody. Ta woda — zawierająca w przeźroczu wnętrza tajemnicę zimowego snu pod lodem i przemożną prężność wiosennych soków, skrzepła martwością zmarłych grud ziemi i migotliwość ciepłych promieni wiosennych — miała moc leczniczą, mądrość ziemną i słoneczną, niedostępną dla myśli ludzkiej. Długo dziś wałęsała się stara po podmiejskich wzgórzach, nim udało się jej wreszcie zaczerpnąć wody do leków niezbędnej. Raz, pod głazem, gdzie tryskała mała kryniczka, spostrzegła pióra dziękiego gołębia, śnać oskubanego przez jastrzębia — zły znak. Gdzie indziej znowu rosło w pobliżu napół uschłe drzewo, coby też miast ozdrowienia, zgon sprowadzić mogło. Tu wreszcie nic nie stało na przeszkodzie i napełniwszy króbkę, może wracać do grodu, a na stare nogi, droga to dość daleka. I tak dobrze, że dworzec Janisława rozsiadł się za murami, na Brzegach, bo nie wiadomo czyby przed zamknięciem bram zdążyła.

Jawnuta dźwignęła się z kolan i szerokim krokiem przedostawszy się na drugi, twardszy brzeg strumyka, szukała wśród zarośli wygodniejszej drogi. Po raz ostatni rzuciła wzrokiem za siebie i nagle zatrząsa się cała od końców stóp obutych w lipowe łapcie, do nakrytej białym rańtuchem głowy. Na lśniącym korze buka, przy którym przed chwilą klęczała, widniał wycięty ostrzem noża krzyż. Kto i po co położyć mógł w tej samotni ten znak? Pobożny pielgrzym, czy bezdomny włóczęga zaznaczył się swą obecnością tym śladem? Białe, szeroko rozpostarte na wschód i zachód ramiona, wyciągnęły się ku starej wajdelotce, która stała naprzeciw, mieląc wśród ostrych, zaciśniętych zębów niezrozumiałe zaklęcia. Przez chwilę pragnęła rzucić się na drzewo, wpić się szponami palców w pień i pozdzierać płaty kory, zatrząść i zniweczyć nienawistny znak. Nie ośmieliła się jednak ruszyć ani krokiem, nie wyciągnęła zaciśniętych kurczowo pięści, tylko ze zdrtwiałych jej palców wymknęło się brzozone wiaderko, a cudowną wodę, krótkim, zachłannym łykiem wchłonęła pulchna czarnorola.

Użali się ptaszek w dąbrowie,
Zapłacze ruta w ogródku
Nad smutną dolą dziewczyny,
Za męż, do obcych wydanej...

Chcicie łowiła stara Jawnuta każdy dźwięk smutnej piosenki, odbijającej się obcością słów i nuty wśród ścian dworu Janisława. Coraz ciszej i żałośniej śpiewała młoda pani Reda, teraz po chrzcie imieniem Agnieszki nazwana, swoje dzie-

wcze pieśni, coraz wolniej trącała dłonią skraj lipowej kolebki. Ciska zapanowała wreszcie w komorze, tylko wiatr, wieczny wędrownik, natarczywie pukał do zamkniętych okiennic, jakby o schronienie prosząc. Agnieszka chyliła się nad posłaniem dziecka i długo łagocnymi spojrzzeniami całowała uśpioną twarzyczkę.

— Dobre były twoje zioła, sene — ozwała się wreszcie. Już dawno tak spokojnie moja rybka nie usnęła jak dziś. Może ją i chorość ona zła opuści.

— Opuści, coby nie! — szepnęła Jawnuta. — Tylko, lubko, dziecinę swoją do sadu wynieś, na słonko wynieś. Nie bój się nic — wiosenne słoneczko, wiosenny wiatr, to najlepsze na wszystko leki.

Ach, sene! Gdyby to było u nas, na Litwie! Jażbym córuchną moją do boru zawiadła, do świętej dąbrowy, na brzozone uroczysko. Ale tu, boję się wszystkiego. I ziela i ptaka i człowieka. Mowa inna, ziemia inna, słońce, zda się, inne. Oj doło moja, niedoło!

— Cichaj serdeńko — nic słozami nie zyszczesz, a sobie na zdrowiu zaszkożysz. Toć ci tu nie źle, panią jesteś, mąż cię miłuje, co jeno chcesz, to masz.

— Nie mów tak, sene! Mnie tu źle, tu poskarżyć się nie ma komu. Mnie szczęściem było do boru z siostrami iść, na jagody, na grzyby, wianeczek z ruty uwić, piosnkę zaśpiewać, w ojcowej komorze ręczniki tkać. I czemuż mnie do obcej ziemi za mąż wydali! Wolejbym dziewczką do śmierci ostała!

— Nie ty jedna! — pokiwała głową Jawnuta. — Ot, kniaziówna nasza, Gedymina najstarsza, królową polską została. Jakże miała sama w meżowe dziedzińcy jechać? Toć dziewczki do orszaku rodzic przydać jej musiały. A że poniekąd zamęście się przygodziło — taki już los. I tyś przecie dwórką Aldony była, a teraz masz przystęp do niej każdego czasu. Mąż twój w radzie królewskiej zasiada. Głupiutka ty, rybko moja, że płaczesz, miast z takowego zaszczytu się weselić.

— Oj, płacze ja, płacze Aldona! Nie powiadaj o jakim zaszczycie. To cała nasza uciecha, jak uściśniemy się nawzajem, dziewczęce dni wspomnamy, alem dawno na grodzie nie była. Aldona ponoć także słabuje.

— At, słabuje moje dzieciątko złote, porówni jak i twoja dziewczeczka. Nie darmo mnie do niej z Litwy zwali. Nie pomogli jej lachy, może stara Jawnuta poradziła co zdoli. Inaczej, wolejby mi śmierć zadali, niż do Krakowa dopuścili! Poganka — mówią — jeszcze nieszczęście na naród sprowadzi, guśta tu swoje czynić będzie! Mąż twój, Janisław najbardziej przeciw mnie powstawał. Wiem to, wiem. Ale korol przykazał, bym we wszystkim swoją wolę miała, przeto i do ciebie zejść mogę i wszędy, gdzie ino uchcę. Niedoczekanie-że im wszystkim! Takie dobre moje bogi jako ich! Ja na ich kapłanów nie pomstuję. Nie dbam o nic, jeno żebym kunigasównie mojej pomóc mogła.

— Nie mówcie tak, sene. Jezus Chrystus, Bóg jedyny, władny i dobry wielce. Ot i wy się jeszcze do Jego stóp skłonicie.

— Tak mówisz? A jam myślała, że cię jeno siłą do chrztu zniewolili. O, wyrodna! Toś już do cna o dawnych bogach przepomniała? Szczęśliwa matka twoja, że tej chwili nie dożyła! No, toś pewnie i mnie pod swoim dachem nierada? Powiadaj jako jest, bo snadnie możesz mnie na tym progno nie uwidzieć więcej!

— Jawnuto, co wy gadacie! Nie wiecie, że was zdawna miłuję? A dopiero com mówiła jako i za Litwą wielce tęsknię. Zlitujcie się, nie odchodź-

cie! Toż bez waszej pomocy zamrze córeńka moja, istnie zamrze, nikt jej krom was nie zratuje!

— Chodziłam ja dziś zrana długo — szeptała uspokożona wajdelotka — wody wiosennej, wody dobrej spod śniegu szukając. Byłby to lek na wszelką chorość najprzedniejszy. Cóż, kiedy nie dało się wody zaczerpnąć. Ani ci już nie wspomnę, jakie mi wstręty na drodze wciąż stawały. Mocne tu naokół jakieś czary, o mocne!

— Biednaż ja biedna, matka nieszczęsna! Mamli patrzyć, jak mi dziecko kona i niczym mu pomóc nie zdole? Jeśli ona, sene... to i ja śmierć sobie zrobię, do Wisły się rzucę, z wieży skoczę. Jakoż mi tu ostać tak samej!

— Powiem ci coś, serdeńko! — schyliła się Jawnuta do ucha Agnieszki — po co masz się smęcić i dręczyć po próżnicy. Spróbuj, czy twoja córka żyć będzie, czy jej śmierć pisana? Ognia się poradź, ogniem spróbuj. Wiesz jak się to robi?

— Wiem, sene ale... ogniowa wróżba straszna! A nuż śmierć wypadnie? Wolej mi nie wiedzieć.

— Jak śmierć wypadnie, przebolejesz, przepłaczesz, a jeśli nie... Pocóż tobie serce sobie psuć, dnie i noce w żałosci pędzić.

— A pomożecie mi, Jawnuto?

— Jakże, pomogę. Wždy wróżbie wajdelota zawsze musi być, by bogów nie gniewać, a jam przecie znicza pilnowała. Drewek nagotuj córuś, nie smolnych, lipowych najlepiej, bo o dziewczeczkę chodzi, dla chłopca dąb by się patrzył. A zdrowe wybierz gałązki, bo ogień godną strawę lubi, suche, coby dymu nie było. Rozpalimy ognisko na trzonie i twoją dziecinę wyjmemy z kolebki, by ją płomień oświecił. Padnie-li cień na ścianę prosto — żyć będzie. A jeśli krzywo, albo chybotać pocznie... Cóżże tak zbladła? Lękasz się? Ostaw lęka na potem.

— Nic, sene, nic. Tylko... ja nie mam widziacie własnego ogniska. To — meżowe, lackie... A nuż mnie na płacz, na ból, wróżba źle wypadnie? Boję się... boję się, nawet ognia tutaj.

Jawnuta powstała z zydła i uchyliła drzwi do sieni. Wyjrzawszy, czy nikt się opodał nie kręci ani nie podsłuchuje, zbliżyła się do Agnieszki i kładąc palec na ustach by nakazał jej milczenie, rzekła najcichszym szepem:

— Ja mam — ogień ze znicza...

— Co wy powiadacie? Jakoż to może być? Więc na Litwie płoną jeszcze znicze?

— Płoną w świątyniach leśnych znicze. U korzeni nietkniętych dębów perkonowych pełzają święte węże... Ukazuje się jeszcze zebranemu ludowi stary Krewe... Kazali jechać mi do Polski — pojechałam, ale pomnę, com winna zniczowi, co bogom moim. Póki życia, póki siły w tej dłoni nie odstąpić ogniska. Zabrałam z sobą święty ogień... Dobrze mu było przy mnie. Hołubiłam go cały czas, jak dziecinę. Dowiozłam nie zgaszony — i żyje mi dalej!

— Gdzie go macie teraz?

— Bezpieczny on, choć nie moje strzegą go ręce, choć zrzadka jeno przy nim strażują. Alem mu dała kolebkę wieczną, pod dobrą jest pieczę.

— Ach, powiedzcie, powiedzcie sene! Ogień, święty ogień ze znicza, tutaj, w Krakowie! Ujrzeć go, uczcić, powitać! Mówcie, gdzie on?

— Tam — wyciągnęła wajdelotka ramię na północ — na Wawelu, w katedrze.

— W Chrystusowej świątyni? Coście uczynili sene! Toć grzech jest!

— Tak co? Ja nie chrześcijanka. Nie znam co wasze grzechy, dla mnie dobry uczynek był. Sam biskup Nanker pierwszy raz zawiódł mnie do świą-

tnicy. Grób Łokietka pokazał, krzyż czarny, chrzcielnicę piękną pokazał. A ja nic, jeno na światło patrzę, co się przed ołtarzem pali i pytam, co to? To — prawi — tak dzień i noc ku chwale Boga płonie wieczna lampa. I nigdy nie gaśnie? — Nigdy! — Zakradłam się na drugi dzień. Kaganek oliwny schowałam pod płaszcz. Ciemno — zmrok — pusto. O, jaka daleka droga od wrót do ołtarza, jaka ciężka ta wieczna lampa! Przyciągnąć ją trudno, łańcuch skrzypli... Wieczna lampa! Na chwilę jeno zgasła... na chwilę. Podnoszę ją znów w górę... Płonie święty znicz... I tak ostał. Może i dobry twój Bóg, skoro go przyjął do siebie.

— Sene, źle ci biskup powiedział. Jest jeden dzień w roku, kiedy gaszą światelko przed ołtarzem.

— Kiedy gaszą? O bogi! Powiadaj, ratować trzeba.

— Teraz, na wiosnę. W wielki piątek, kiedy to Jezus na krzyżu skonał. Gaśnie wszelki ogień, nawet i po domach. Dopiero na drugi dzień, w sobotę rano, kiedy biskup skrzesa nową iskrę z kamienia i pobłogosławi ją, zapalają światło.

— Ogień święca i wodę podobno. Nie dziwota, że dziś wody spod śniegu przynieść nie mogła. Ale to nic. Poradzim tej biedzie. Redo, córko Walgutisa! Mile ci dziecko?

— Co jeno jest na świecie, wszystko bym mu dała!

— To dobrze! Słuchaj... albo nie. Jeszcze nie dziś, nie tutaj. Wrócę niebawem i powiem ci co masz czynić. Świętego ognia do wróżby musim dostać. O twoje dziecko idzie. Posłuszna mi musisz być, bo i ja niebylejaką władzę mam, pamiętaj!

Skarga proroka Jeremiasza, zawodząca niby bezdomna płaczka na zgłiszczach Jeruzalem, szła od stopni ołtarza i rozbrzmiewała zdało się, na cały świat.

Agnieszka, przytulona do kamiennego filaru nawy, odczuwała jak bolesny cios w serce każdy ton pieśni. Te niezrozumiałe słowa i ponure dźwięki, zwiastowały jej jakoby niebezpieczeństwo i przestrzegały przed nim, ale nie pojmując ich mowy, nie wiedziała jak się bronić, gdzie szukać ucieczki. O, gdyby mogła nie słyszeć psalmu, gdyby ukryć się przed nim! Z dzieckiem na rękę okrążyła już całą katedrę, przypadając do kryjówek ciemnych kątów, niby spłoszona przepiórka, daremnie w zbożu szukająca gniazda. Wszędzie jednak, gdzie tylko spoczęła na chwilę, dobiegały ją złowrogie prorocтва jeremiady. Wreszcie utrudzona, przyczołgała się do stóp Łokietkowej tumbi i tam trwała na kolanach nieruchoma, w czerń spowita, jak owe niewiasty — żalobnice, wyrzeżane na kamiennym cokole. Główna dziecka, spoczywająca na jej ramieniu, osunęła się i zwiśla w dół. Drżącymi rękoma, z pośpiechem, poczęła odchyłać fałdy płaszcza, by lepiej ułożyć bezwładne ciało. O żalu, o niedole! Gdzież podziła się ta duma i szczęście, z jakim dawniej spoglądała na kwitnącą twarzyczkę córki. Teraz, przez szkliwo łez, zbolełe oczy ledwo dostrzec mogą zwątłone, zapadłe liczka, blade czółko oblepione kosmykami spocynych włosów. Ostre zimno, pociągające od marmurowych płyt posadzki, od ołtarzy i nagrobków, powlokło siną barwą zaciśnięte usteczka i wychudłe rączki. Przebóg, pocóż zawlokła do tego grobowiska, do tej wilgocią ziejącej ciemnicy dziecko? Chyba po to, żeby jej na rękach skonało, bo ratunku dla niego od kogo tu może oczekiwać?

— Jesteś tu już rybko, to dobrze — posłyszała nagle Agnieszka szept Jawnuty.

— Jakoście tu weszli? — odrzekła równie cicho wystraszona, bo postać starej wyrosła tuż przy niej, jakby spod ziemi.

— A przez krużganek, z królewskich komnat do kaplicy. To ci już powiem, że wydzierzeć w komorze nie mogła. Jakoby mnie kto na sznurze ciągał, a precz przykazywał: idź do katedry, idź do katedry!

— Oj, mnie takoz. Ledwie mąż za próg wyszedł, jużem na górę jako na skrzydłach leciała. — I pocóż dziecko ze sobą brała? Wżdyć inaczejmy uradziły.

— Nie ostawiłabym córki samej. Niech się dzieje co chce, a ona będzie przy mnie. Raźniej mi tak, śmieiej.

— A twój pan mąż? On tu może w orszaku stoi, nie wie, że żonka z domu się wymknęła i o krok od niego siedzi. He, he, he!

— A jakże, niechybnie z królem tu na modłach trwa. Strach mi Janisława! Może by lepiej wrócić?

— POCO? Czego się lekasz? Nikt nas tu nie dojrzy, a choćby kto szedł w naszą stronę, wymkniemy się do komnat Aldony. Cóż nam kto zrobi?

— Nie, nie, sene! To grzech co chcemy zrobić. Wróćmy do domu.

— Ale, wróćmy! Bacz-no Reda. A to ci co chwila tamten otrok świecę zdmuchuje na onym drewnianym trójkącie. Może już wszystkie światła gasić będą?

— Jeszcze nie teraz. Przeciem wam mówiła, dopiero jutro, w wielki piątek rano. To ciemna jutrznia. Ino tych dwanaście gromniczek zagaszą.

— Aha. Pocóż zasię tamta kaplica tak rozjarzona i zielenią przybrana?

— To ciemnica, na wzór kaźni, w której Jezus Pan ostatnią noc przepędził. Tam Ciało Pańskie w Eucharystii złożone widzicie.

— Patrzaj, patrzaj. A toć się już skończyły modły i ludzie wychodzą. Wrychle same ostanie-

my. Klękaj tu, jakośmy się przed ołtarzem modliły.

Przywarowały na stopniach, wsłuchując się w nacichające echa kroków u wrót kościelnych.

— Teraz pora — szepnęła Agnieszka, gdy z przeciągłym łomotem zapadły wrzeczadze za ostatnim z pobożnych.

— Pora — odparła Jawnuta, zatapiając baczne spojrzeńie w opustoszałej nawie.

Żadna jednak nie poruszyła się z miejsca. Ta nagła cisza, rozkołysana tysiącem drgnień i szelestów, ta coraz głębsza pomroka, zawisająca niby żalobny całun od sklepienia do posadzki, obciążała ogromnym brzemieniem trwogi ich stopy i ramiona.

— Spieszmy się — ponaglała Agnieszka — wraz kościół zamykać będą.

— Ot, nawet idzie już zakrystian, schować się trzeba.

Jawnuta pociągnęła młodą kobietę do kaplicy. Tam, spoza przymkniętej kraty wyzierały ostrożnie, na odejście wrotnego czekając.

— No — odetchnęła Jawnuta z głębi piersi, gdy zgrzyt klucza odgrodził je zaporą wrzeczadzy od świata — to i po strachu. Nikt teraz nie wejdzie, nie przeszkodzi. Nawet spieszyc się nie potraza.

— Ale jakże wyjdziemy? — kłopotowała się Agnieszka, szukając wzrokiem miejsca, gdzie złożyćby mogła dziecko.

— A tak, jakem tu przyszła. Nie troskaj się, ino idź teraz śmieiej po święty ogień.

— Sene... możebyście wy poszli.

— Takaś to matka? Wżdy to dla twojej dzieciny.

— To chodźmy obie. Wyście ogień przynieśli, zabierzcież go teraz — sama się by krokiem z miejsca nie rusze.

— No, niechże będzie — potrzynam ci dziecko.

Odeszły obie jak dwie zjawy w stronę, gdzie błędny ognik lampy odrobiną blasku i ciepła rozkrawał ciemność...

— Postójże, postój, lubko — dyszała Jawnuta z trudem nadążając za Agnieszką. Toć już nie wydolę.

— Jakże mam stawać, nie widzicie, że bezmała noc? Co rychlej wracać mi trzeba!

— Oj, nie będziesz ty miała szczęścia w życiu, nie, skoro tak sobie z mężem poradzić nie umiesz. Żeby to na mnie padło, wiedziałabym co mu rzec, iżby się nie zgniewał.

Agnieszka nie odpowiedziała, tylko stanęła

J. W. Goethe

(Przekład L. Wachholza)

MONOLOG FAUSTA

(z aktu I, drugiej części dramatu).

Żywota tętno żywota znów zadrgało
Na eterycznych światów pozdrowienie;
Ziemio! tyś była i tej nocy stałą
I znowu świeża ślesz mi swoje tchnienie,
Znów czarem swym mnie skłaniasz do zachwytu,
Obudzasz silne to postanowienie,
By dążyć wciąż do najwyższego bytu. —
W jutrzni blasku świat się zjawia cały,
Tysiącym życiem las brzmi aż do szczytu;
Po łąkach opar mgły się snuje biały;
Lecz jasność niebios w głębie już spoziera
I krzewom, ziołom, które dotąd spały,
W otchłani wonnej senność z oczu ściiera;
I barw się znowu jawi wyróżnienie
I kwiat i listek perły rosy zbiera; —
Na raj się zmienia moje otoczenie!

Spojrzyjmy w górę! — Chwilę uroczystą
Zwiastują dzikie turni tych grzebienie;
Im wolno pierwej światłość wiekuistą
Oglądać, zanim spojrzy w nasze oczy.
Zieloną teraz halą rozłożystą
Blask nowy zwolna jak po stopniach kroczy
I coraz niższe zjawia ich zakręty —
Już wschodzi! lecz mnie tak niestety mroczy,
Że się odwracam, bólem ócz przejęty.
Tak, gdy nadzieją tęskną omamieni
Cel życzeń swoich sądzim osiągnięty,
Spełnienie marzeń nam się pewnym mieni;
Lecz w tym tych wiecznych głębin czeluść miota
Płomienną powódź, stajem więc zdumieni:
Pochodnię zatlić chcieliśmy żywota,
A nas ogniste morze w okół chłonie!
Czy to nienawiść, czy też miłość złota
Naprzemian ból i radość wzbudza w łonie.
Że znów ku ziemi opuszczamy oczy,
By tam w dziecięcej ukryć się zasłonie?

Niech więc poza mną słońce krąg swój toczy! —
Wodospad szumny rzuca się ze skały —
Do niego coraz więcej lgną me oczy —
Na głązy z głązów spada rozszalały,
Wyraźny teraz, lecz się wnet rozplywa
I w górę rzuca piany otok biały.
O! jak wspaniale z niego się dobywa
Łuk siedmiobarwny tęczy migotliwej!
Wyraźny teraz, lecz się wnet rozplywa
I szerzy wokół chłodu dreszcz dotkliwy.
W nim ludzkich dążeń mieści się odbicie.
Wmyśl się weń głębiej, pojdziesz sens prawdziwy:
W odbłyску barwnym mamy nasze życie.

przed małą furtką w palisadzie okalającej dziedziniec i szukała klucza w kaletce. Wraz z Jawnutą, piastującą dziecko wślizgnęły się bezszelestnie do sadu, na dziedziniec, przed dom. Nie spotkały nikogo — dworzec ciemny, zda się pusty, okiennice pozamykane. Snać nie wrócił jeszcze pan z Wawelu, może przez króla zatrzymany. Śmieiej już ujęła Agnieszka w rękę dierzak żelaznej zasady, gdy nagle wrota otwarły się i na progu stanął Janisław.

— Wejdz! — rozkazał, widząc, że Agnieszka drgnęła jak do ucieczki — nie będziem uradzali na polu. Gdzieś tak długo bawiła?

— Byłam... w kościele... — z trudem z za szczególnych zębów dobyła słów.

— Chwalebnie to — szydził Janisław — jeno, że ninie wszystkie bramy pozawierane. I dziecko zabrała na takie wietrzysko i ziąb? Głupiby nie uwierzyli!

Agnieszka milczała. Rozszerzonymi źrenicami spoglądała to na męża, to na drzwi przyległej komory, za którymi znikła z dzieckiem Jawnuta.

— Cóż tak zaniemiała, mów! — przynaglał Janisław. — A cóż tam pod chustą skrywasz?

Bez słowa rozchyliła okrycie na piersiach. Nad splotem palców zaciśniętych dokoła glinianego kaganaka, wykwitło złotym okiem mdłe światelko.

— Lampka? — zdumiał się Janisław — i toś przede mną chowała? A pocóż ogień do domu nośisz? Wżdy w każdej izbie na kominie się pali. Ej, czybyś aby nie w kościele zapaliła kaganek? Gadaż!

Młoda kobieta w milczeniu skinęła głową. Nie miała już nic do ukrycia. Wydało się! Na marne poszły zabiegi, próżne były obawy i troski. Nie widziała dla siebie innego ratunku, jak wyznać prawdę.

— Z świątyni? — wyrzekł Janisław ze zgrozą. — Sięgnęłaś ręką na ołtarz, odważyłaś się? Nie wiesz, żeś obraziła majestat Boski?

— To dla dziecka, dla dziecka... — broniła się tym jedynym, jak się jej widziało skutecznym sposobem — ono chore!

— Chore, tak i cóż? Zali grzesząc uratujesz dziewczkę? Na co ci to było? Gusła jakie chcesz wespół z tą starą wiedźmą czynić? Nie odpowiadasz, nie? To patrz-że teraz!

Szybkim ruchem wytrącił z rąk żony kaganek. Gliniane naczynko upadło na ziemię, rozpryskując się w kawałki. Z pomiędzy skorup wypłynęła ognistym językiem strużka oliwy.

— Niechaj tego płomienia! — krzyknęła Agnieszka odpychając męża, gdy chciał zdeptać światelko. — To ogień z Litwy! Święty płomień Znicza! Perkun cię skarże!

— Perkun? O ty piekielnico! Do kościoła niby chadzasz, a w moim domu bałwanom swoim ofiary chcesz składać? W imię Ojca i Syna i Ducha świętego, amen! Niechże mnie teraz każe kto chce. Uwidzimy, kto będzie silniejszy!

Ułapił w pół żonę i trzymał. Strumyk płonącej oliwy chwycił już wiotką szmatę rozścieloną na podłodze, wgrzył się krwawym zębem w szare nitki i zmierzał ku drzwiom komory.

— O Jezu! Janis, puszczaj! — wyrwała się daremnie Agnieszka. — Gore! Zasłona się pali! Jezu, tam dziecka komora! Puść, ino ugaszę, ino dziecko wyniesię, a już zrobisz ze mną co zechcesz!

— Nie puszczę! Ani tego ognia pozwolę komu gasić! Nie lza krześcijanom pogańskich rzeczy tykać!

— O, o...! już się dźwierzy chwyta! Dom spłonie! Dziecko zginie!

— Niech ginie! Lepsza jemu śmierć, niżli taka matka!

Ostatkiem sił wydarła się Agnieszka mężowi i ku drzwiom skoczyła. Zerwie zasłonę, ugasaż, własnym ciałem zagrozi mu drogę do dziecka. Przebóg, zali taki ratunek córce dała, że spłonąć ma żywa? Jezu, otóż i kara za moje przewiny! Niechaj się spełni wola Twoja nade mną, ale ratuj dziecko. Ono niewinne! Pospiesz Panie pospiesz na ratunek! Bo nie Ciebie obrazić, ale dziecko ratować chciałam!

Ach, jakież ten ogień silny, jakie mocne płomienie! Chwytają za odzież, za białą na głowie namitkę, parzą. Dym gryzący wciska się pod powieki, ręce osłabia, miast nieść ratunek, osłaniają jeno twarz przed żarem. Nie da rady, nie zwycięży sama!

Nagle rozwarły się drzwi komory, wiatr zawiął ognistą płachtą i wepchnął ją do środka, lecz w tej chwili silne ręce oddarły płonącą szmatę, rzuciły na ziemię i zaczęły tłumić płomień. Powoli, nie spiesząc się, stara Jawnuta przyduszała żar połami grubej sukni, zdeptywała chodakami zarzewie. Agnieszka osłabła i chmurny Janisław patrzeli w milczeniu na jej robotę.

— Coście uczynili, sene! — szepnęła wreszcie Agnieszka. — Toć zagasiłście własnymi rękoma święty ogień, wy, wy, wajdejotka... Ani iskierka nie została...

— Nic, nic, nie mów serdeńko... Wiem, com uczyniła. Wejdz do komory i spojrzaj na twoje dziecko. Siedziałam przy nim, niepewna, czy uciekać, czy spieszyc tobie na pomoc. Bom każdziutkie słowo waszych swarów słyszała. Naraz krzyknęłaś imię Jezusa!... I tejez prawie chwili dziewczka twoja o własnej mocy usiadła, jakby nigdy nie chorowała. Ot, prawdę gadałaś... Władny twój Bóg i dobry. Córkę ci uzdrowił i święty znicz zagasił... do cna zagasił, hej!...

Ks. Jan Mazerski

Zarzut wykradzenia zwłok Zbawiciela w świetle nazareckiego edyktu

Od kilku lat interesuje uczonych żywo, czemu wyraz dają na łamach czasopism naukowych, sprawa pewnego greckiego edyktu cesarskiego (Diátagma Kaisaros), odnalezionego najprawdopodobniej gdzieś w północnej Palestynie. Edykt ten, chociaż już w r. 1878 w Nazarecie nabyty przez kolekcjonistę-archeologa Wilhelma Froehnera, został opublikowany dopiero po śmierci właściciela (um. 1925), który zazdrośnie strzegł tego dokumentu, choć cała jego kolekcja już dawniej stała się własnością paryskiego Cabinet des Médailles. Stąd dopiero w r. 1930 doszedł do wiadomości wielu, kiedy znakomity archeolog i religioznawca wschodu Franz Cumont ogłosił artykuł w „Revue historique”, omawiający treść i wskazujący na wielkie znaczenie historyczno-prawne edyktu. Ale chociaż dotychczas bibliografia tego edyktu przekroczyła liczbę 50 pozycji i najróżnorodniejsi już nim się zajmowali uczeni: archeolodzy jak Cumont, prawnicy jak Cuq, Wenger, filologowie jak Carcopino, Seston, Markowski i bibliści jak ks. Lörsch, Tonneau, to jednak po dziś dzień jeszcze daleko do jednomyślności. Nie ma zgody ani co do autora, ani czasu powstania, ani nawet co do jego treści, mimo że edykt sam całkowicie jest czytelny (rzadki wypadek w archeologii) na dobrze zachowanej płycie marmurowej o wymiarach 60 x 37,5 cm. Na tyle — zdaje się — posunięta jest jednak sprawa, że można już z pożytkiem zapoznać się z samym edyktem jako też z niego wypływającymi zagadnieniami, dotyczącymi się opustoszałego po zmartwychwstałym Chrystusie grobu i znanej z Ewangelii św. Mateusza niezgrabnej plotki o wykradzeniu Jego Ciała.

TREŚĆ I PRZEKŁAD EDYKTU CESARSKIEGO.

Edykt cesarski (przez niektórych reskryptem zwany) skierowany jest przeciwko winnym naruszenia grobów lub znieważaniu zwłok w nich pochowanych. Większość dotychczasowych komentatorów edyktu była przekonana, że wydający go cesarz rzymski ustanawiał w nim karę śmierci na groboburców palestyńskich. Jest zasługą polskiego uczonego, że w różnych rozprawach starał się uporczywie wykazywać braki powyższej egzegezy a równocześnie dawał inną interpretację, pod niejednym względem bardziej przekonującą. Dając poniżej polski przekład wspomnianego rozporządzenia cesarskiego, tylko w niektórych i to drugorzędnych rzeczach odchyłam się od łacińskiego jego tłumaczenia. (Por. Markowski H. Diátagma Kaisaros, De Caesare Maniun Turum Vindice, Poznań, 1937, str. 7 n.).

„Edykt Cezara. Grobowce oraz mogiły — którzykolwiek — (by je) uczynili z czi ku rodzicom czy dzieciom lub domownikom — chcę, by pozostały nienaruszone na zawsze.

Jeśli więc zdołał ktoś komu wykazać, że albo rozrzucił (inni: zniszczył) albo w inny jakiś sposób pochowanych wyrzucił, albo z świadomą złościwością w inne przeniósł miejsca ze zniewagą pochowanych, albo nagrobki lub kamienie przestawił, przeciw temu rozkazuję wytoczyć sprawę sądową tak, jak gdyby o bóstwa (chodziło), a to ze względu na szacunek dla obrzędów (czy? — religij?) ludzi, gdyż o wiele więcej należy na przyszłość czić pochowanych!

Jeśli zaś nie, na ten czas ja chcę, by ten podlegał sądowi o sprawę gardłową za posądzenie o groboburstwo“.

SPRAWA AUTORSTWA I CZASU POWSTANIA EDYKTU.

Paleograficzne kryteria wskazują na okres augustowski jako czas powstania napisu. Nie wyklucza się jednak kilku nawet dziesiątków lat przed lub po Augustie. Historyczno-prawnicze zaś sprawdziany przemawiałyby raczej za r. 30 przed Chr. Bo dwie rzeczy zwracają uwagę w powyższym edyktie, którego autentyczność jest bezsporna: 1) brak jakichkolwiek bliższych określeń autorskich, oraz 2) surowość kary sankcjonującej rozporządzenie. Tytuł autora edyktu brzmi krótko i tajemniczo: Kaisar. Tytułu Cezara używało tylko dwóch: G. J. Cezar i jego przybrany syn Oktawian, który jednak od 1 stycznia 27 r. przed Chr. przybrał sobie tytuł bardziej honorowy: Augustus. Od tej więc chwili uchodziło za pewien nieakt nazywać Augusta Cezarem tylko, którego to nieakt dopuścił się rozmyślnie wg Diona Kassiusa [LV, 10, 20] w r. 1. naszej ery młody król Partów Phraatakes, nazywając Augusta Cezarem. Czyli przed rokiem 27 prz. Chr. powinien być powstać nasz edykt. Przy tym należy zwrócić uwagę i na to, że chociaż było zwyczajem młodego Oktawiana nadawać z początku prawa podbitym przez siebie ludom na wschodzie, to jednak w r. 27 prz. Chr. rzekł się tego prawa August na rzecz senatu i ludu rzymskiego. Najstosowniejszą zaś okazją wydania powyższego edyktu mógł być rok 30

przed Chr., kiedy August bawił w Palestynie. Poprzedniej bowiem jesieni, 2 września 31 roku, pokonawszy w bitwie pod Actium Antoniusza i spędziwszy zimę na wyspie Samos i Rhodos, udał się z wiosną wzdłuż wybrzeża syryjsko-palestyńskiego przez Ptolemaidę (gdzie witany był wystawnie przez Heroda W.) do Egiptu. Po samobójczej śmierci dwojga kochanków: Antoniusza i Kleopatry, Egipt wkrótce został opanowany przez Oktawiana (w sierpniu tegoż roku), który wraca jesienią przez Palestynę na północ od Antiochii, w towarzystwie młodego i sprytnego monarchy żydowskiego Heroda W., zabiegającego o łaskę i względy rzymskiego zwycięzcy. Wtedy to August powiększył królestwo Heroda, darząc go swą przyjaźnią. Oto najprawdopodobniejsze tło historyczne powyższego edyktu Cezara.

Ale zwrócić również uwagę i niesłychana oraz niebywała surowość kary, sankcjonującej zarządzenie nazareckie. Żeby to wytłumaczyć, szukano stosownej okazji do wydania tak ostrego edyktu. I pod tym względem badania uczonych rozeszły się znacznie. Jedni doszukują się jej w niesłychanie bezcelnej psocie, jakiej dopuścili się serdecznie nienawidzący Żydów Samarytanie, którzy za rządów pierwszego rzymskiego prokuratora Judei Koponiusza w r. 8 po Chrystusie przed samymi świętami Paschy zbezczeszcili świątynię jerozolimską, rozrzucając w niej kości ludzkie, czym wg żydowskiego prawa rytualnego uniemożliwili w tym roku obchodzenie świąt wielkanocnych (Carcopino, Cuq, Lagrange, Seston i inni. Por. Józ. Fl. Ant. XVIII 2, 2).

Zarzuć jednak trzeba tej hipotezie, że żaden z 5 w edyktie rozróżnionych wypadków groboburstwa nie odnosi się właściwie ściśle do powyższego występkę Samarytan, a on przecież przede wszystkim powinien być tu napiętnowany.

Dlatego ks. Stefan Lörsch, prof. Pisma św. NT. na uniwersytecie w Tybindze, ogłosił w r. 1936 dzieło, w którym starał się wykazać, że powód do wydania powyższego zarządzenia cesarskiego nastąpiły spory religijne, jakie powstały po śmierci Chrystusa Pana między Sanhedrynem a uczniami i coraz liczniejszymi zwolennikami zmartwychwstałego Jezusa z Nazaretu o rzekome wykradzenie Ciała Zbawiciela z grobu. Zmartwychwstanie bowiem Chrystusa było zawsze najsilniejszym dowodem na potwierdzenie mesjańskiej i boskiej misji Chrystusa Pana. Było ono od pierwszej chwili takim w ustach Piotra, gdy przemówił w Zielone Świąta do tłumów jerozolimskich pątników. Sanhedryci zaś, świadomi powagi chwili i rozrostu gminy chrześcijańskiej wśród Żydów, pragnęli obalić główny argument apostołów i diakonów przez zarzut, że uczniowie wykradli Ciało Ukrzyżowanego i domagali się od władz rzymskich, by przeprowadziły śledztwo i odszukały względnie wymusiły wskazanie miejsca przechowywania ukrytych zwłok. Ten konflikt miał być zmusić Poncjusza Piłata do zwrócenia się do Rzymu w powyższej, prawem nieprzewidzianej, sprawie. Gdyby nasz nazarecki edykt już istniał — tak rozumuje Lörsch — na ten czas władze rzymskie nie wzbierałyby się przed wytoczeniem procesu uczniom Chrystusa i zastosowaniem całego rygoru prawa. Jeśli to się nie stało, to dlatego, że edykt ten jeszcze nie istniał. Poncjusz Piłat otrzymał dopiero reskryptem powyższe Diátagma od nieczytelnego w swych zarządzeniach Kaliguli. Przesadna ostrość edyktu Kaliguli została, jak tyle innych jego zarządzeń, zanulowana przez następcę, Klaudiusza.

Przeciw tej subiektywnej hipotezie, chociaż bardzo wnikliwej, ma się dużo zastrzeżeń. Najbardziej zdecydowanie wypowiedział się Dr Hieronim Markowski, docent poznańskiego uniwersytetu przez to, że dokonał rewizji dotychczasowych tłumaczeń edyktu.

UZASADNIENIE TEORII POLSKIEJ I JEJ ZASTOSOWANIE.

Diátagma nazareckie składa się z trzech zdań: pierwszego ogólnego, zarządzającego wolą Cezara, wieczystą (?) nietykalność rodzinnym grobów i mogił, oraz dwu zdań następnych, w których wypowiedziana jest sankcja karna na każdy z 5 rozróżnionych wypadków naruszenia grobów lub znieważenia zwłok zmarłych. Klucz do zrozumienia edyktu i dlatego zasadnicza trudność kryje się w ostatnich, przez nas podkreślonych słowach, w których wobec zwięzłości edyktu dziwnym się wydaje i zbędne powtórzenie kary sankcyjnej. Do tego dodać jeszcze należy niezwykłą i nieużywaną w prawodawstwie konstrukcję i zastosowanie wyrażań. Za przestępstwa bowiem religijne (a pod ten paragraf zostały podciągnięte wymienione groboburcze występkę) istniała przecież procedura karna czy to wg prawa rzymskiego czy miejscowego. Po co więc tautologiczne powtarzanie się w uroczystym zarządzeniu? A poza tym ostatnie zdanie edyktu dziwną wypowiedzią się konstrukcją wyrażań, ani grecką ani łacińską, jeśliby rozu-

mieć trzeba „onómati tymborychias — nomine sepulcri evulsi“ jako przyczynę kary śmierci: za groboburstwo.

Dlatego zasadnicze pytanie brzmi: Co oznaczają ostatnie słowa edyktu: „A jeśli nie“ (= w przeciwnym wypadku)? Do czego one nawiązują? Co po nich myślą uzupełnić należy? — Czy usprawiedliwiony i poprawny jest domysłnik, który dotąd wszyscy stawiali, a którym nawiązywali do bezpośrednio poprzedzających słów: „bezwzględnie nikomu nie wolno naruszać grobów rodzinnych?“ Zdaje się, że nie. — Trudności co dopiero wymienione każą nam nawiązać do pierwszego zdania warunkowego: „Jeśli by więc ktoś komu zdołał wykazać...“ A w tym wypadku przeciwstawienie się końcowego zdania warunkowego z uzupełnieniem domyslnym wyrażałoby mniej więcej to, co następuje: „jeśli zaś ktoś nie udowodni (wykaże) przed władzą, że ten pogwałcił edykt i zbezczeszczył zwłoki zmarłych itd., tego nakazuje przed sąd wezwać w sprawie gardłowej“. Nie o groboburcę zatem chodziło prawodawcy w ostatniej części edyktu, ale o potwarcę, oskarżającego bezpodstawnie kogoś o naruszenie grobu. A w takim ujęciu tych dwóch zdań warunkowych, zrozumiemy się już staję i poprawnym w łacińskim tekście, z którego tłumaczono edykt na grecki język, użycie wyrażenia „nomine sepulcri evulsi“, gdyż pod sądnego nie pozywało by się za popełnienie groboburstwa, ale za posądzenie kogoś o groboburstwo.

Takie zaś ujęcie treści edyktu nazareckiego, zakazującego groboburstwa, ale i lekkomyślnego lub złośliwego oskarżenia o groboburstwo, jest zgodne z pewnym historycznym faktem, współczesnym powstaniu edyktu nazareckiego. Józef Flawiusz dwukrotnie opowiada w swoich Starożytnościach żydowskich (VII, 15, 3; XVI, 7, 1) o tym, jak to w Jerozolimie nieprzychylni Herodowi Żydzi rozpowszechniali o nim potwarcze wieści, jako by w nocy naruszył świątynię bogate grobowce Dawida i Salomona, docierając nawet do ich zwłok, by je ograbić z pozostałych tam kosztowności królewskich. Była to plotka złośliwa, tłumacząca rzekome pochodzenie wielkich bogactw Herodowych, którymi szczerze szafował. W latach bowiem, o których jest mowa, nie żałował Herod wydatków na wspomaganie Augusta. Z wiosną 30 roku przyjmując go wspaniale w Ptolemaidzie wręczył mu ogromną sumę 800 talentów (talent hebrajski większy aniżeli attycki posiadał 10 tys. drachm, czyli równał się 10.900 fr. złotym), a wojsko jego doskonale zaopatrzył (Ant. XV, 6, 7). Powiadomiony przez Heroda o złośliwych oszczerstwach starszyzny żydowskiej, stanął August wydanem podobnego edyktu prawnie w obronie Heroda a siewcom fałszywych oskarżeń i oszczerstw zamknęła na długie lata usta właśnie ostatnia część edyktu nazareckiego.

EDYKT NAZARECKI A NOWE OSZCZERSTWO O NARUSZENIE GROBU.

Św. Mateusz 28, 11—15 pisze, jak to starsi ludu żydowskiego wobec cudu Zmartwychwstania Chrystusa Pana, przekupili stróżujących przy grobie żołnierzy, skłaniając ich do rozpowszechniania wiadomości o wykradzeniu zwłok Ukrzyżowanego przez Jego uczniów. Ostatnia klauzula nazareckiego „Diátagma Kaisaros“ wyjaśnia nam teraz, dlaczego chytry arcykapłani, pamiętający o wyjątkowej surowości prawa względem oszczerców groboburstwa, woleli sami milczeć i nigdy nie posługiwać się argumentem wykradzenia Ciała Zbawiciela a za to innych, mniej świadomych następstwa takiego kroku, przekupstwem nakłonili do rozsiewania wykrętnego, jakże nieudolnego i kontradykcyjnego twierdzenia, że On nie zmartwychwstał, ale że Go groboburczo wykradli jego uczniowie, gdy oni żołnierze spali. To milczenie zacieklej wrogów Jezusa, poddyktowane panicznym strachem przed groźbą, jest jednak przyznaniem i potwierdzeniem przez nich cudu zmartwychwstania wobec zagadki pustego grobu.

Coraz głośniejsze, coraz śmielej, coraz częściej i coraz skuteczniej będą mówili ci, których Sanhedryn powinien był przed Piłatem oskarżyć o groboburstwo na podstawie pierwszej części edyktu nazareckiego, o Zmartwychwstaniu Tego, którego Żydzi z nienawiści ukrzyżowali (Dzieje Apost. 2, 14—36), ale już się nie odezwa ani sprzeciwy ani nawet plotki o wykradzeniu Jego z grobu. Od najbliższych Zielonych Świąt po czasy dzisiejsze tyśiące i miliony będą przechodziły na stronę Zmartwychwstałego Pogromcy „piekiel i szatana“. Grób Jego pusty będzie przedmiotem czi i pielgrzymek wieczystych. Przekupiona oszczerza plotka skończyła rychło pod groźbą opatrnościowego zakończenia edyktu cesarskiego, kneblującego usta zacieklej nienawiści zbrodniarzy Bogobójców. Dwa edykty cesarza Augusta stanęły na usługach Mesjasza: edykt zarządzający spis ludności i ostatnio znaleziony edykt nazarecki.

Dr Franciszek Zastawniak

Zygmunt Florenty Wróblewski

(W 50 rocznicę śmierci)

Owiana powagą nauki i przybrana w dostojne togi gmachów Almae Mater Jagellonicae jest ulica św. Anny w Krakowie. Przy tej ulicy pod Nr. 6 stoi cicha, poważna i skromna, chociaż duża kamienica, w której przed 55 laty dwóch młodych polskich uczonych dokonało czynu, który naukę polską rozszalał w całym świecie. O czynie tym Marian Smoluchowski napisał: „Zawdzięczamy mu, że od długich wieków... nauka polska zajęła wybitne miejsce w europejskiej historii fizyki“. Czynem tym było skroplenie składników powietrza tlenu i azotu, dokonane w r. 1883 przez Zygmunta Wróblewskiego i Karola Olszewskiego, profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego. To, czego nie potrafili dokonać dysponujący wspaniałymi urządzeniami laboratoriami i nieograniczonymi możliwościami finansowymi uczeni francuscy, szwajcarscy i angielscy, zrobione zostało w cichym starym Krakowie, w tym chłodnym i ciemnym, choć wielookiennym gmachu Akademii Jagiellońskiej.

Fakt skroplenia gazów trwałych, za jakie uważane były tlen i azot, odbił się doniosłym echem w całym świecie naukowym, aby więc lepiej podkreślić, na czym polegał sukces obydwóch polskich uczonych, przyjrzyjmy się bliżej historii skraplania gazów.

Podczas gdy zagadnienie otrzymywania temperatur wyższych od temperatury otoczenia człowiek rozwiązał z chwilą wynalezienia ognia, to zagadnienie otrzymywania temperatur niższych od temperatury otoczenia, jest stosunkowo niedawnym, a samo skroplenie tlenu i azotu nie było czymś nieoczekiwanym, lecz dalszym krokiem naprzód w otrzymywaniu temperatur coraz to niższych.

SKRAPLANIE GAZÓW.

W połowie XVII w. spostrzeżono, że niektóre ciała rozpuszczając się w wodzie, powodują obniżenie się temperatury roztworu. W r. 1734 Reaumur rozpuszczając sól w wodzie uzyskał temperaturę -6° , naturalnie na skali swego termometru używając zaś lodu zamiast wody, otrzymał jeszcze lepszy wynik, bo -12° . Dalsze dzieje otrzymywania niskich temperatur wiążą się już ściśle z historią skraplania gazów. Zauważono mianowicie, że gdy jakkolwiek łatwo skraplający się gaz będzie się poddawał ciśnieniu, tzn. coraz bardziej zmniejszać jego objętość, to gaz ten już w zwykłej temperaturze przejdzie ze stanu gazowego w ciecz. Jeżeli nad otrzymaną cieczą zmniejsza się ciśnienie, to przejdzie ona z powrotem w stan gazowy, lecz aż do wyparowania będzie miała temperaturę znacznie niższą od otoczenia.

Po tych sporadycznych i niesystematycznych badaniach, do skraplania gazów zabrał się za namową Davy'ego jego genialny współpracownik Faraday, w r. 1823. Stosując prostą metodę zgęszczania i oziębiania gazów, Faraday skroplił 9 znanych gazów. W jakiś czas później Thilorier w Paryżu, wzorując się na Faraday'u, zbudował przyrząd ulepszony, w którym mógł otrzymać skroplony dwutlenek węgla w większych ilościach. Zauważył on przy tym, że skroplony dwutlenek węgla, wypuszczony na powietrze zestala się na śnieżną masę. Zjawisko to na olbrzymią skalę obserwować można było przed kilku laty w Krynicy. Wydobywający się z szybu gazowego i nagle rozprężający się dwutlenek węgla tak się oziębił, że śnieżnym całunem pokrył całe zbocze pagórka, na którym szyb się znajduje. Zestalonego dwutlenku węgla używa się też stale w Krynicy do utrzymania lodowiska hokejowego w dobrym stanie w dnie ciepłe. Ten śnieżny dwutlenek węgla pod zwyczajnym ciśnieniem posiada temperaturę 78° poniżej zera, zmieszany zaś z eterem dawał najniższą znaną wówczas temperaturę. Mając do dyspozycji większe ilości skroplonego dwutlenku węgla, Faraday w r. 1845 zabrał się do dalszych doświadczeń. Chłodząc gazy mieszaniną dwutlenku węgla z eterem i poddając je ciśnieniu do 50 atmosfer, skroplił on dalszych 6 gazów, a niektóre z nich zestalał. Wszelkim jego wysiłkom oparło się tylko 6 znanych gazów: tlen, azot, wodór, tlenek azotu, tlenek węgla i metan. Gazów tych nie udało się skroplić mimo usiłowań ani Berthelotowi w Paryżu, ani Andrewsowi w Glasgowie, ani też Nattererowi w Wiedniu, mimo, że ten ostatni poddawał gazy olbrzymiemu ciśnieniu, dochodzącemu do 3600 atmosfer. Niektórzy uczeni poczynali już wątpić w możliwość skroplenia tych gazów, które w odróżnieniu od dających się skroplić nazwano gazami trwałymi.

Dopiero ogłoszona w r. 1869 praca Andrews, podająca wyniki jego badań nad dwutlenkiem węgla i innymi gazami, wyjaśniła teoretycznie, jakie warunki muszą być dopełnione, aby uzyskać skroplenie jakiegoś gazu. Wykazał on, że dla każdego gazu istnieje pewna ściśle określona temperatura, nazwana przez niego temperaturą krytyczną, po-

wyżej której gaz się nie skrapla przy użyciu największych nawet ciśnień. Aby więc skroplić gazy trwałe, trzeba było uzyskać ich temperatury krytyczne, czyli oziębić je znacznie niżej, niż można było uzyskać znanymi dotychczas środkami oziębiającymi. Dnia 22 grudnia 1877 r. Akademia Nauk w Paryżu otrzymała depeşe od Pictet'a z Genewy o dokonaniu pierwszego skroplenia gazu trwałego, a mianowicie tlenu. Pictet nie wiedział, że w Akademii tej znajdowała się już od 24 listopada tegoż roku opieczątowana koperta, zawierająca opis równie pomysłowych prób, przeprowadzonych w Paryżu przez Cailletet'a, który jednak nie chciał ogłaszać wyników swej pracy przed rozstrzygnięciem swego wyboru do Akademii.

Podczas gdy praca Pictet'a, jak to później udowodniono, była oparta na błędnej obserwacji, a wnioski wyciągnięto zbyt pośpiesznie i bez koniecznego w nauce krytycyzmu, gdyż skroplenie znajdujących się w tlenie zanieczyszczeń przyjęto za skroplenie samego tlenu, to Cailletet rzeczywiście tlen skroplił. Było to jednak skroplenie chwilowe — mgiełka natychmiast znikająca. Cailletet, pragnąc skroplić tlen, poddawał go ciśnieniu do 300 atmosfer, a potem nagle ciśnienie zmniejszał, przy czym pojawiała się krótkotrwałe zamglenie, świadczące o skropleniu tlenu. Omawiając te doświadczenia, słynny chemik francuski Berthelot, oświadczył jednak, że gazy trwałe wtedy będzie można uważać za skroplone, gdy w postaci cieczy będzie je można oglądać i badać przez dłuższy czas. Tego dokonali właśnie polscy uczeni Wróblewski i Olszewski.

ODKRYCIE POLSKICH UCZONYCH.

Nim jednak przejdę do krótkiego opisu ich doniosłego odkrycia naukowego, przyjrzyjmy się bliżej niezwykłe ciekawemu i burzliwemu życiu Zygmunta Wróblewskiego, którego 50-ta rocznica zgonu przypada w bieżącym roku w dniu 17 kwietnia. Zygmunt Florenty Wróblewski urodził się 28 października 1845 r. w Grodnie, tam też ukończył z medalem srebrnym gimnazjum w 17 roku życia. Na wyższe studia, jak cała ówczesna młodzież grodzieńska, udał się do Kijowa. Niedługo jednak tam pozostaje. Przychodzi rok 1863; Wróblewski stawia się na rzucone hasło tam, gdzie Ojczyzna wzywa swych dobrych synów — przystępuje do powstania. Wnet jednak schwyty, zostaje uwięziony i wywieziony na Sybir. Do kraju wraca dopiero po 6 latach w następstwie ogłoszonej amnestii. Dla ratowania zniszczonego na Syberii wzroku udaje się do Berlina, gdzie poddaje się operacji. Dopiero po 6 miesiącach wychodzi z klinicznej ciemnicy na światło dzienne, a lekarz zabrania mu jeszcze przez kilka lat czytania i pisania. Z niezwykłym w tych wrunkach hartem ducha Wróblewski, nie mogąc nic notować, dwukrotnie uczęszcza na wykłady, aby pamięciowo opanować materiał, z zapalem jednak kontynuuje swe studia. Studiuje w Berlinie, Heidelbergu i Monachium w bardzo ciężkich warunkach finansowych. Ileż razy opowiadał później swym zaufanym o tych czasach, gdy na kawałek chleba zarabiać musiał piśnaniem „nędznych, bezimiennych artykułów do gazet“. Przed powołaniem na asystenta do Strassburga „wyglądał jak szkielec“. Jednak nie tracił energii i pomysłowości. List otwarty, jaki wystosował do wszystkich kierowników niemieckich fizycznych zakładów naukowych, umożliwił mu kontynuowanie dalszych studiów, gdyż słynny Jolly powołał go do Monachium, wprawdzie na stanowisko bezpłatnego asystenta, ale umożliwiające mu przynajmniej bezpłatne korzystanie z laboratoriów naukowych. Tu wr. 1874 Wróblewski uzyskuje doktorat. Zmienia się wreszcie na lepsze jego sytuacja materialna z chwilą powołania go przez prof. Kundta na płatnego asystenta do Strassburga. Tu rozpoczyna Wróblewski swe badania nad własnościami gazów, habilitując się równocześnie na docenta w r. 1876. W międzyczasie otrzymał zaszczytną propozycję na objęcie katedry profesorskiej w Tokio, w prowadzonej tam przez Niemców Akademii lekarskiej. Wróblewski jednak rezygnuje, gdyż otrzymuje od Akademii Umiejętności w Krakowie stypendium im. Seweryna Gałęzowskiego. Umożliwia mu ono pracę w Londynie, Paryżu, Oxfordzie, Cambridge, a przez następny rok w pracowni Saint Claire Dewille'a w Paryżu. Stąd też w r. 1882 powołany zostaje na profesora zwyczajnego fizyki w Uniwersytecie Jagiellońskim. Przybywając do Krakowa, Wróblewski przywiózł z sobą przyrząd Cailletet'a, z którego doświadczeniami, demonstrowanymi zresztą publicznie, zetknął się w Paryżu.

W Krakowie spotkał się Wróblewski z profesorem chemii Karolem Olszewskim, interesującym się również problemem skraplania gazów. Obydwaj uczeni rozpoczęli w lutym 1883 r. wspólną pracę nad skropleniem tlenu. Przyrząd użyty przez

nich był ulepszonym aparatem Cailletet'a; od tego też uczonego przyjęli etylen, stosując jednak równocześnie sposób Pictet'a, obniżenia temperatury wrzenia etylenu przez zmniejszenie ciśnienia za pomocą pompy ssącej; uzyskano w ten sposób temperaturę -136 do -139° C., a więc niższą od temperatury krytycznej tlenu, wynoszącej -119° . Sukces obu uczonym zapewnił pomysł utrzymania skraplanego gazu pod znacznym ciśnieniem, wskutek tego temperatura jego wrzenia była dość wysoka. Tak np. tlen, pod ciśnieniem 22 do 26 atmosfer skraplał się łatwo w temperaturach od -136° do -132° C. i można go było pod tym ciśnieniem przechowywać i badać. Zaczawszy, jak już wspominałem, badania w lutym skroplono już przy końcu marca tlen, o czym zawiadomiono Akademię Umiejętności 5 kwietnia, a Akademię Francuską dnia 9 kwietnia. Oto tekst wysłanego telegramu: „Tlen skroplony, zupełnie ciekły, bezbarwny, jak kwas węglowy“.

Wkrótce potem skroplono azot i tlenek węgla. Tak wspaniałe rezultaty osiągnięte przez współpracę obydwóch uczonych kończą pierwszą fazę ich badań. Dalej pracują nad tymi zagadnieniami już osobno.

Olszewski buduje aparat, pozwalający na skraplanie większych ilości gazów, bada własności skraplanych i zestalanych gazów i cieszy się uznaniem całego świata naukowego. Między innymi skrapla również nadesłany mu przez Ramsay'a, świeżo przez tego uczonego odkryty w powietrzu gaz argon i usiłuje skroplić również hel, nadesłany mu przez Ramsay'a, który gaz ten odkrył w mineralne klewce. Dożywszy wieku późnego zmarł w roku 1915.

Wróblewskiemu niestety los nie pozwala tak długo kontynuować swej pracy. U szczytu sił i możliwości naukowych nieszczęśliwy wypadek kładzie kres życiu świetnego uczonego. Pracując wieczorem 25 marca 1888 r. w swym zakładzie nad wykresem do pracy nad ściślnością wodoru, Wróblewski przypadkowo rozbił naftową lampę. Rozlana nafta zapaliła się, przy czym również wykończony prawie wykres objęły płomienie. Ratując wykres Wróblewski nie zauważył, że nafta rozlała się także i na jego ubranie, i że również jego ogarnęły płomienie ognia. Chcąc się ratować, wybiegł na dziedziniec, gdzie dwóch przypadkowo tam znajdujących się medyków ugasiło na nim ogień. Okropnie poparzony, mimo największych wysiłków swych przyjaciół lekarzy, po trzech tygodniach męczarni, zakończył życie dnia 17 kwietnia 1888 r. o godz. 7 rano.

Któremu z uczonych przypisać większą zasługę w uzyskaniu wspaniałego wyniku naukowego? Sprawa ta emocjonowała liczne rzesze zwolenników, rywalizujących ze sobą uczonych na tym samym polu badań naukowych, jeszcze za ich życia, a nawet jeszcze obecnie odżywa od czasu do czasu. Sami uczeni nigdy nie wypowiedzieli się wyraźnie, dlaczego zerwali tak świetnie zapoczątkowaną spółkę naukową, ani też, kto pierwszy dał inicjatywę do tych badań, który z nich ulepszył aparat Cailletet'a, ani wreszcie, który z nich był twórcą innych pomysłów umożliwiających skroplenie tlenu. Na pytania te dotychczas nie udało się z całą pewnością odpowiedzieć i prawdopodobnie nie do wiemy się tego nigdy. Nas jednak interesuje najbardziej świetny wynik ich współpracy, „gdyż każdy z nich — jak pisał przed kilku laty następca na katedrze Olszewskiego prof. Tadeusz Estreicher — dorósł do zadania... a praca wspólna wydała najcenniejszy owoc... obaj otoczyli chwałą naukę polską“.

Obydwóch też uczonych uczcił Kraków w jednakowy sposób. Przed kilkunastu laty ulicę, przy której pracował Olszewski nazwano jego imieniem, a w Zakładzie Chemicznym wmurowano tablicę ku jego czci. Od kilku zaś miesięcy ulica, przy której znajdują się studia Polskiego Radia (dawniej Pędzichów-boczna) w Krakowie nosi nazwę Zygmunta Wróblewskiego. Tablica ku jego czci, ufundowana przez uczniów i kolegów znajduje się w kościele św. Anny. Druga tablica ku czci Wróblewskiego zostanie w niedługim czasie umieszczona w budynku, gdzie skroplono tlen.



H U M O R

KRÓTKI, ALE GRUBY.

Wieżniaczka: — Mnie się zdaje, panie kupiec, że ten metr je cosik za krótki...
Kupiec: — Krótki jak krótki, ale spójrzta jaki gruby!...

CHOROBA NAUCZYCIELA.

Władek odwiedził chorego nauczyciela. Przed domem czeka na niego kolega Zbyszek, który zapytuje go o stan zdrowia wychowawcy.
— Żadnej nie ma nadziei — odpowiada Władek — pojutrze przyjdzie znowu do szkoły.

SPÓŹNIONA ZEMSTA.

Pan Stanisław pyta swego przyjaciela Antoniego obitego z obandażowaną ręką.
— Bój się Boga, co się z tobą stało?
— Pobiłem jednego Turka.
— Turka? — Za co go pobiłeś?
— Jak to za co. Oni nas bili, to teraz ja biję.
— Kiedy oni nas bili?
— Kiedy? A pod Cecorą, to nie?
— Bój się Boga, przecież to było tak dawno.
— Cóż z tego, ja o tym dopiero teraz się dowiedziałem.

W KAWIARNI.

— Bardzo przepraszam, czy pan jest Franciszkiem Snopczyńskim z Piotrkowa?
— Nie, nie jestem.
— Ale ja nim jestem i radzę panu nie wkładać futra pana Snopczyńskiego, jeżeli pan nim nie jest.

ZAKŁAD.

Pan Józef przyszedł do przytomności dopiero w szpitalu. Przy łóżku swoim widzi przyjaciela, z którym spędził wieczór.
— Co się ze mną stało?
— Byłeś pijany i założyłeś się, że wyskoczysz przez okno i będziesz fruwał koło domu.
— Bój się Boga, dlaczego mi nie przeszkodziłeś?
— Nie mogłem, bo to właśnie ja założyłem się z tobą o 100 złotych, że tego nie potrafisz.

ZROBIŁBY TO SAMO.

Pan Antoni cierpi na reumatyzm. Spotyka na ulicy znajomego lekarza i pragnie wykorzystać to spotkanie, aby uzyskać bezpłatną poradę.
— Panie doktorze — pyta on — znam pewnego pana, który cierpi na straszny reumatyzm. Kiedy przychodzą na niego ataki, to po prostu wyje z bólu. Czy pan doktor zrobił w takim wypadku?
— Prawdopodobnie też bym wył — odpowiada lekarz.

JAK NOŻEM UCIAŁ.

— No, jak stoją twoje sprawy?
— Fatalnie.
— Czyżby, slyszalem, że jesteś milionerem.
— Jakby ci to powiedzieć, — przed pół rokiem odziedziczyłem po moim nieboszczyku ojcu z górą milion, w miesiąc później wygrałem pierwszy los na loterii, jeszcze po miesiącu umarła ciotka, zostawiając mi koło miliona, ale od tego czasu, to jak nożem uciał.

TERAZ JUŻ WIEM.

— Czy ta pani Kaczkowska jest niespełna rozumu? Widziałeś jej dziwaczne uczesanie?
— Dlaczego dziwaczne. To jest uczesanie Marii Antoniny.
— Ach tak! No to już wiem, za co jej ucięto głowę.

KOMPENSACJA.

Nauczyciel w berlińskiej szkole powszechnej stara się uczniom wyjaśnić, że gdy jakiś narząd jest niedostatecznie rozwinięty, to za to dla równowagi inny organ wykazuje w tym samym stopniu większy rozwój. Dlatego naprzykład człowiek ślepy ma zazwyczaj znakomity słuch.
— Czy możecie mi podać jeszcze jakiś przykład?
Mały Kurt wstaje i mówi:
— U nas w Trzeciej Rzeszy koszule są coraz krótsze, a za to twarze są coraz dłuższe.

NIEPRZYWOITY POSTEPEK.

— Dlaczego pan doktor nie odklonił się temu panu?
— Bo postąpił ze mną nieprzyzwoicie: u mnie na prozonym obiedzie popsuł sobie żołądek, a leczy się u innego lekarza.

ŚRODEK NA POROST WŁOSÓW.

— Najlepszym środkiem na porost włosów, jest muzyka.
— Jakto?
— To jasne! Przecież wszyscy sławni muzycy mają piękne, długie włosy.



ZAD. 2. — SZARADA RADOSNA (4 PUNKTY).

ul. „Andrus“

Post się już skończył, niech nikt nie narzeka, że drugie - szóste już poszły do kąta; radość każdego czwór - ósmego czeka. koło mazurków już się pani krząta.

Raz - drugie - trzecie marzą mi się stawy, pięć w ustach dawno już się zbiera ślinka, wspaniałe - wspaniałe pierwszy Lukullusa prawy, wiem, jak smakuje kielbasa i szynka.

Przy alkoholu w odpowiedniej mierze nieodzownego dla większej podniety, jeden cielece kolanko wybierze: drugi czwór - trzecie kolanko kobiety.

Nie mam talentu ósmego - siódmego Kurka, by wszystkie opisać rozkosze, pięć - sześć słuchajcie dość kompetentnego mojego głosu. Bardzo o to proszę.

ZAD. 3. — LOGOGRYF (4 PUNKTY).

ul. W. Nosé — czł. Kl. Szar.

Odnaleźć 16 trzy - literowych wyrazów według podanych znaczeń. Litery początkowe dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. wieloryb, 2. wieczność, 3.

spoczynek, 4. drobna moneta skandyn., 5. roztwór solny, 6. miasto nad Biebrzą, 7. zabawa, 8. utwór liryczny, 9. głos najniższy, 10. pukiel włosów, 11. obawa, 12. były, dawny, 13. dola, 14. część dolnej kończyny, 15. parów, 16. bogini zła i występku.

ZAD. 4. — PRZESUWANKA (4 PUNKTY).

ul. „Sumbra“ — czł. Kl. Szar.

A	S	U	T	I	D	Ł	E	W	O	M	Z	S	Z	Y	M	C
H	R	T	S	A	E	Z	Y	S	A	D	A	E	R	Z	Y	T
A	W	T	U	C	Ł	Ń	I	N	Ś	N	J	H	S	W	S	Ł

Podane w rysunku litery należy tak poprzesuwać w górę lub na dół, nie psując kolejności, aby można poziomo odczytać aktualne zdanie.

* * *

Wszystkim naszym P. T. Czytelnikom, Kolegom-Szaradziom i Sympatykom naszego działu serdeczne życzenia „Wesołego Alleluja“ zasyła Kierowniczką R. Z.

Nagrody za rozwiązanie zadań z I Konkursu otrzymują:

I. nagrodę — — — — — W Pan A. Mieczkowski z Wilna.

II. nagrodę — — — — — W Pan Dr St. Kaszubski z Dobrego.

III. nagrodę pocieszenia — — — Wielebny ks. W. Osikowski z Wielowsi.

Nagrody zostaną wysłane w tych dniach, odbiór ich łaskawie prosimy nam potwierdzić.

Sprostowanie. W Nr-ze 15/107 rebus z zad. Nr 18 omyłkowo odbity został w przeciwnym kierunku, należy odczytać go wspak.

KUPON Nr 16/107
ważny do 1 maja b. r.

NA LICYTACJI

Licytator: — O przykrym wypadku muszę zawiadomić publiczność. Mianowicie jednemu z panów został wyciągnięty z kieszeni portfel z kwotą 100 złotych. Poszkodowany prosi o zwrot, za co ofiarowuje 20 złotych!

Głos spośród tłumu: — Ja daję trzydzieści.

W RESTAURACJI.

— Czy w jadłospisie są potrawy, zawierające witaminę „C“?

— A jakże! W mojej restauracji znajdzie pan wszystkie witaminy w potrawach od „A“ do „Z“.

SOLIDNY MAŻ.

Maż: — Byliśmy w sklepie blisko dwie godziny i mimo to zapomniałaś jeszcze o jakimś sprawunku.

Żona: — Nic nie zapomniałam!

Maż: — A ja ci mówię, że zapomniałaś.

Żona: — A co takiego?

Maż: — Tego nie wiem.

Żona: — Więc po czym wntosujesz, że zapomniałam?

— Maż: — A bo zostało mi jeszcze w portmonecie 5 złotych.

PIERWSZY KROK.

— Daj mi papierosa, Emilu!

— Powiedziałeś mi przecież, że już nie palisz?

— Zrobiłem już takie postępy, że nie kupuję papierosów.

Rozmaitości

PIORUN NIE ZAWSZE „SPADA“.

Według powszechnego mniemania, istnieją tylko dwa rodzaje błyskawic, jedna powstająca na skutek wyładowań elektrycznych między dwoma chmurami, druga — między chmurami i ziemią. Widząc płomienny zrygawk, „rozdzierający“ chmury od nieba ku ziemi, mówimy zazwyczaj „piorun spadł“ albo uderzył. Istnieje jednak, jak stwierdza stacja meteorologiczna w Transvaalu, gdzie zaobserwowano najczęstsze i najgwałtowniejsze burze, jeszcze trzeci rodzaj wyładowań ku górze. Mianowicie z chmur wystrzelają często ogniste wstęgi błyskawic, które rozplywają się w górnych warstwach atmosfery. Dotychczas istota tych „górných“ wyładowań nie została wyjaśniona.

WĘŻE NA PUSTYNI.

Płazy i gady wegetują w warunkach najmniej sprzyjających rozwojowi życia. Sławny badacz niemiecki Rohlf zabił w 1874 roku na pustyni libijskiej w miejscu, pozbawionym wszelkiej wegetacji, węża długości przeszło dwóch metrów, którego żołądek zawierał kilka kamyków i ziarenek piasku. Płaz, znalazłszy się na pustyni, dostosował się z łatwością do warunków bytowania w tych obszarach i żywił się piaskiem i kamyczkami.